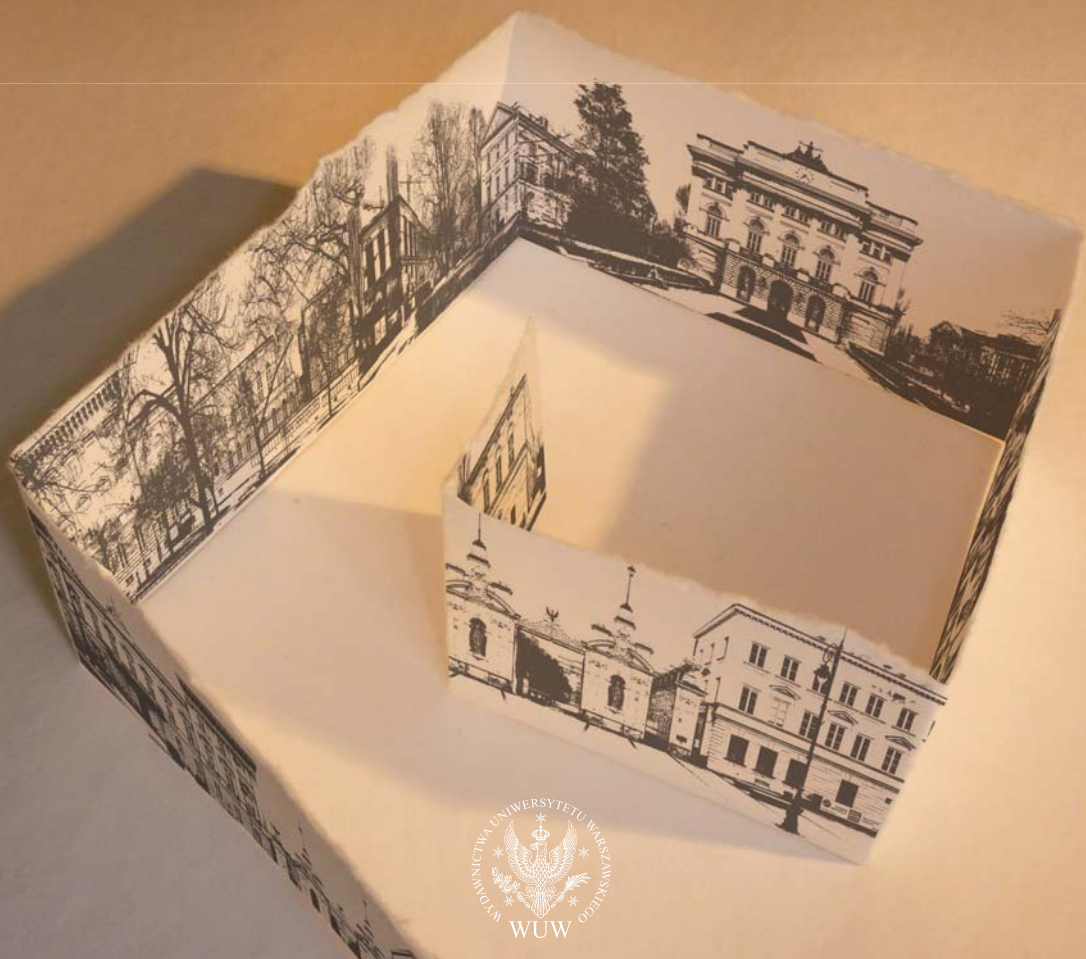


NASZ UNIwersYTET

Wspomnienia pracowników Uniwersytetu
Warszawskiego



NASZ
UNIwersYTET

NASZ UNIwersytet

Wspomnienia pracowników Uniwersytetu
Warszawskiego



Koncepcja publikacji
Zofia Boglewska-Hulanicka

Redaktorzy prowadzący
Anna Kędziołek
Beata Jankowiak-Konik

Redakcja
Robert Jankowski
Elżbieta Morawska

Korekta
Robert Jankowski

Indeks
Zdzisława Śluchocka-Ziemińska

Projekt okładki i stron tytułowych
Krzysztof Stefaniuk

Ilustracja na okładce
fot. Krzysztof Stefaniuk

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

ISBN 978-83-235-2354-3

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2016

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
00-497 Warszawa, ul. Nowy Świat 4
e-mail: wuw@uw.edu.pl
Księgarnia internetowa: www.wuw.pl

Wydanie 1, Warszawa 2016

Dwóchsetlecie istnienia Uniwersytetu Warszawskiego musiało otrzymać swój znak, oddający charakter jubileuszu. W naszym logo liczba „200” jest zarazem dwukropkiem pozwalającym wyliczyć to, co już za nami, a hasło: „Dwa stulecia. Dobry początek” podkreśla wartość naszej dobrej przeszłości, potraktowanej zarazem jako wstęp do świetniejszej jeszcze przyszłości.

Wydarzenia na osi czasu wyznaczającej bieg dziejów Uniwersytetu Warszawskiego w dużej mierze pokrywały się z przełomowymi momentami w dziejach naszej ojczyzny. Nasza uczelnia, wielokrotnie wznowiając swoją działalność, często musiała odradzać się nieomal od zera. Jednak pomimo przerw w formalnym trwaniu Uniwersytet Warszawski nigdy nie utracił swej tożsamości, a sprzyjał temu swoisty *genius loci*.

W ciągu tych dwóch stuleci Uniwersytet Warszawski na trwałe zapisał się w historii i kulturze naszego narodu. Uczelnia nasza stała się największą i rozpoznawalną w świecie polską szkołą wyższą. Miejscem nie tylko naukowego fermentu, lecz także formowania się sił niepodległościowych i obronnych Polski. Kolebką współczesnej opozycji oraz ruchu ideowego, które doprowadziły do upadku komunizmu.

Nie byłoby to możliwe bez ludzi Uniwersytetu. To oni – będąc nośicielami wiedzy, kultury, idei, tradycji i obyczajów – zapewniali kontynuację dobrych wzorów. Aktywnie uczestnicząc w przełomowych wydarzeniach, często nawet je animując, tworzyli lepszą przyszłość. Naszą teraźniejszość.

Uniwersytet Warszawski, co naturalne, stał się matczynikiem wybitnych osobistości życia naukowego i ośrodkiem powstawania prądów na-

ukowych. Uczelnia nasza wykształciła także twórców kultury, których dzieła stanowią trwałą część światowego dziedzictwa – utwory Chopina, Prusa, Sienkiewicza, Gombrowicza czy Kapuścińskiego są znane daleko poza granicami Polski. Z naszych murów wyszły nie tylko osoby tak wyjątkowe jak Janusz Korczak czy Irena Sendlerowa, lecz także późniejsi prezydenci, premierzy (i to nie tylko naszego kraju), marszałkowie, ambasadorowie czy też inne znane osobistości życia publicznego. Szczycimy się nawet jednym świętym – w dodatku zagranicznym!

Tom wspomnień, który właśnie otrzymują Państwo do rąk, jest zapisem indywidualnych losów oraz aktywności naszych wybitnych profesorów – świadków i uczestników zmian w Uniwersytecie Warszawskim po jego ostatnim „odrodzeniu” w roku 1945. Jest zapisem historii jednostkowych, ale dającym spójny obraz całej naszej społeczności.

Wspomnienia przeważnie spisywano obecnie, a zatem zbyt późno, by usłyszeć jeszcze głos dawnych, przedwojennych mistrzów, a tym samym, w sposób naturalny, połączyć ich czasy z naszą teraźniejszością. A jednak są oni wciąż żywo obecni, i to nie tylko w nazwach instytutów, sal czy pracowni. Karty książki pokazują, że ich uczniowie, a nasi dzisiejsi mistrzowie, oprócz pamięci o nich, wiedzy czy metodologii pracy naukowej dzięki nim zdobytej, przechowują także zasady, którymi oni kierowali się w życiu i w nauce. To właśnie zapewnia naszej społeczności ciągłość trwania. Łączy Przeszość z Teraźniejszością, zarazem przenosząc je w Przyszłość.

Bohaterowie tej książki wybrali różne sposoby narracji: jedne teksty mają formę świadectwa, są podróżą w czasie; inne stanowią rzetelne analizy przeglądowe z bogatym materiałem faktograficznym; są wywiady, fragmenty większych całości; są impresje oddające atmosferę opisywanych czasów i zdarzeń; są relacje ze spotkań z przeszłością – z ludźmi i wszystkim tym, co było ważne; są miniatury portretowe i nieodzowne anegdoty. W tych opowieściach wiele jest wspólnych wątków, wynikających choćby ze wspólnoty czasu i doświadczeń pokoleniowych. Jednak tym, co je prowadzi i spaja, jest myśl, że Uniwersytet Warszawski to nie tylko miejsce pracy – to sposób na wyjątkowe życie.

Pod tym stwierdzeniem i ja podpisuję się z przekonaniem!

Marcin Pałys

Rektor Uniwersytetu Warszawskiego

Warszawa, wiosna 2016

Spis treści

Zofia BOGLEWSKA-HULANICKA, Zamiast wstępu	11
Jerzy AXER, Artes Liberales, czyli o wolności	13
Wiesław BARCZYK, Uniwersytet Warszawski 1952–1997. Moja praca, doświadczenia, ciekawostki	17
Stanisław L. BAŻAŃSKI, Drugi dom na Hożej	45
Jan BŁESZYŃSKI, Moje pięćdziesiąt parę lat na Uniwersytecie Warszawskim – uczelni o dwustuletniej tradycji.	53
Andrzej BONASEWICZ, Wspomnienia na 200-lecie Uniwersytetu Warszawskiego.	69
Eugeniusz CZAPLEJEWICZ, Czas inspiracji i poszukiwań.	81
Anna GALSKA-KRAJEWSKA, „Wspominki” z ponad pół wieku	89
Zbigniew GALUS, Początki mojej 60-letniej fascynacji elektrochemią.	103
Jerzy GOLIMOWSKI, Wspomnienia z pracy na Wydziale Chemii UW	115
Renata GRZEGORCZYKOWA, Z dziejów warszawskiej polonistyki w latach 1949–2000	123
Adam HULANICKI, Moja chemia na Uniwersytecie Warszawskim	133
Danuta KĄDZIELAWA, Jak być szczęśliwą, studiując psychologię i pracując jako neuropsycholog	141
Jan KIENIEWICZ, Chroniąc substancję. Wspomnienie uniwersyteckie	155
Jan KREMPA, Moje relacje z Uniwersytetem Warszawskim	167
Marek TADEUSZ KRYGOWSKI, Jak trafiłem do pracy na Wydziale Chemii UW. .	175

Władysław KUPISZEWSKI, Moja praca na Uniwersytecie.	
Katedra Języka Polskiego.	187
Ida KURCZ, Jak psychologia wyprzedziła inne nauki	195
Andrzej LAM, Polonistyka warszawska po wojnie.	199
Stanisław LEWAK, Moja przygoda z Uniwersytetem.	217
Leszek LINDNER, Pracownicy Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego na budowie Centralnej Magistrali Kolejowej – czyli od Uniwersytetu do Pendolino	257
Irena ŁOSSOWSKA, Lata 1956–2007 – Uniwersytet Warszawski w mojej pamięci.	263
Juliusz ŁUKASIEWICZ, Wspomnienia na dwóchsetlecie Uniwersytetu Warszawskiego	275
Jan MADEY, Moja pierwsza dekada na Uniwersytecie Warszawskim, czyli tak to się wszystko zaczęło	281
Maria MATERSKA, Podróże z Mistrzem	297
Roman MIERZECKI, Moja działalność na Uniwersytecie Warszawskim.	309
Stanisław ORŁOWSKI, 200-lecie Uniwersytetu Warszawskiego. Wspomnienia.	319
Michał PIETRZAK, Ponad pół wieku na Uniwersytecie Warszawskim	327
Jadwiga PUZYNNINA, Wspomnienia	333
Zofia ROSIŃSKA, Czas zakochania.	347
Izabella RUSINOWA, Mój Uniwersytet Warszawski	351
Kazimierz RYĆ, W starym Uniwersytecie zawsze rodzi się coś nowego	355
Henryk SAMSONOWICZ, <i>Universitas</i> to wspólnota uczących i uczonych.	365
Antoni SEMCZUK, Kartki o powstaniu i rozwoju rusycystyki na Uniwersytecie Warszawskim.	377
Ewa SIATKOWSKA, Moje więzi z Uniwersytetem Warszawskim	389
Ewa SKRZYPCZAK, Wspomnienia ze studiów i pracy na Wydziale Fizyki UW.	399
Jerzy SOBKOWSKI, Zapomniana radiochemia.	405
Władysław Bogdan SZTYBER, Wspomnienia	413
Roman TABORSKI, Moje związki z Uniwersytetem Warszawskim	429

Michał TYMOWSKI, Moje studia na Uniwersytecie Warszawskim	
1959–1964	433
Zbigniew WIELOGÓRSKI, To, co warte zapamiętania	445
Irena WOJNAR, Uniwersytet to nie „posada”, ale sposób życia... ..	451
Krzysztof WROCLAWSKI	
Studia geologiczne (1954–1960)	463
„Polonicum” w moich wspomnieniach (1965–1978)	481
Instytut Filologii Słowiańskiej (1978–1992)	495
Andrzej Kajetan WRÓBLEWSKI, Fragmenty wspomnień.	509
Maria ZABŁOCKA, Wspomnienia	521
Wanda ZMARZER, 55 lat z Uniwersytetem Warszawskim	533
Władysław ŻAKOWSKI, O zwycięstwie prawa nad siłą.	541
Indeks osób	545

Zamiast wstępu

„Dwa stulecia. Dobry początek”. Pod takim hasłem obchodzimy dwieście lat istnienia naszej Alma Mater – Uniwersytetu Warszawskiego. Śmiało patrzymy w przyszłość. Jesteśmy najlepszą uczelnią w kraju i to zaszczytne miejsce chcemy utrzymać. Jednakże, aby mieć prawo do tej przyszłości, powinniśmy pochylić się nad tym, co miało miejsce przed obecną okragłą rocznicą.

Na temat historii Uniwersytetu Warszawskiego powstało już wiele opracowań i publikacji. Archiwum uniwersyteckie ma w swoim zasobie pełną dokumentację dotyczącą studentów, pracowników, a także struktur poszczególnych wydziałów.

W niniejszej publikacji zawarte są jednak treści, których nie można znaleźć w żadnych oficjalnych ankietach – wspomnienia osób związanych z Uniwersytetem Warszawskim od ponad pół wieku. To jedna czwarta okresu funkcjonowania naszej Uczelni. Staralam się dotrzeć do wszystkich. Z perspektywy pięćdziesięciu lat nabiera się pewnego dystansu do wielu wydarzeń. Niektóre bardziej się uwypuklają, inne wydają się mniej ważne. Ze wzruszeniem przekazuję wspomnienia z czasów studenckich i późniejszych spisane przez osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięciolatków, a także przez pozostałe, trochę młodsze osoby.

Każdy autor prezentuje swój wydział i jego specyfikę. Każdy tekst zawiera terminologię charakterystyczną dla danej dziedziny wiedzy. Jednocześnie cechą wspólną wielu tekstów są wspomnienia przełomowych wydarzeń na Uniwersytecie i w kraju. A więc jest to różnorodność w jedności.

Wyrażam wdzięczność wszystkim autorom wspomnień za pozytywne odniesienie się do mojej idei tworzenia niekonwencjonalnej historii naszej Uczelni. Jestem ogromnie szczęśliwa, że udało mi się uzyskać prezentowane poniżej teksty od wielu znamienitych osobistości.

Zofia Boglewska-Hulanicka

Zofia Boglewska-Hulanicka (ur. 1937, Warszawa) jest wieloletnim pracownikiem Wydziału Chemii UW, w Pracowni Teoretycznych Podstaw Chemii Analitycznej.

W latach swojej pracy przyczyniła się do popularyzacji i dokumentacji dziejów warszawskiej chemii uniwersyteckiej: prowadziła fotograficzną kronikę Wydziału Chemii, napisała wiele artykułów dotyczących historii Wydziału i osób z nim związanych, stworzyła swego rodzaju Muzeum Aparatury Chemicznej, doprowadziła do umieszczenia w Sali Rady Wydziału portretów 25 wybitnych profesorów Wydziału Chemii. Po przejściu na emeryturę ukończyła studia na Wydziale Historycznym UW oraz podyplomowe studia varsavianistyczne. Swoje zainteresowania historyczne realizuje m.in. w projekcie gromadzenia wspomnień wieloletnich pracowników UW z okresu ich studiów i pracy na Uniwersytecie.

W życiu prywatnym Zofia Boglewska-Hulanicka jest żoną profesora chemii Adama Hulanickiego, dziekana Wydziału Chemii w latach 1981–1984.

Jerzy Axer
Wydział „Artes Liberales”

Artes Liberales, czyli o wolności

Kiedy wiosną 1981 roku prof. Jadwiga Puzynina, świeżo wybrana dziekanem Wydziału Polonistyki, zaproponowała mi objęcie funkcji swojego zastępcy, nie miałem żadnego doświadczenia nie tylko w kierowaniu ludźmi, lecz także w pracy w jakimkolwiek zespole. Pierwsza „Solidarność” wyciągnęła mnie z niszy, w której schroniłem się przed współczesnością: łacina i Ciceron zapewniali mi azyl i alibi. Nie było czasu wykazać się niekompetencją – normalne urzędowanie trwało zaledwie parę miesięcy, po strajku przyszedł 13 grudnia.

Ten okres dał części środowisk akademickich Uniwersytetu Warszawskiego silne poczucie wewnętrznej jedności. Dzięki obcowaniu z Jadwigą Puzyniną otworzyłem się na ludzi. Stopniowo zdałem też sobie sprawę z tego, że – z do dziś dla mnie niejasnych przyczyn – mam na ludzi wpływ i łatwo zyskuję ich zaufanie. Uwierzyłem w sens budowania alternatywnych wobec tradycyjnych uniwersyteckich podziałów struktur, łączących ludzi ponad tymi podziałami. Nie obudziły się we mnie żadne zainteresowania karierą polityczną – taka droga życiowa nawet dzisiaj kojarzy mi się z wyborem „mniejszego zła”. Przekonałem się natomiast, że można powoływać do życia wspólnotę profesorów i studentów bez względu na przepisy, nakazy i zakazy. Dlatego odmówiłem rektorowi Białkowskiemu tworzącemu swoją ekipę w roku 1985 objęcia funkcji pierwszego prorektora, odmówiłem też przyjęcia ponownego wyboru na stanowisko dziekana Wydziału Polonistyki w roku 1987. Zamiast tego postanowiłem tworzyć własne środowisko.

Jeszcze w roku 1981 z pierwszym wybranym w wolnych wyborach rektorem Uniwersytetu Warszawskiego prof. Henrykiem Samsonowi-

czem ustaliłem, że wkrótce złożę projekt powołania centrum badawczego, w którym połączę zainteresowania antykiem i jego recepcją z zainteresowaniem Polską i jej historią. Ideę tę można było jednak wprowadzić w życie dopiero po przełomie 1989 roku i tak jesienią 1991 powstał Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i w Europie Środkowowschodniej (OBTA)¹. Było to pierwsze na świecie (obok powołanego w tym samym roku na Uniwersytecie Bostońskim „The Institute for the Classical Tradition”) interdyscyplinarne centrum badań nad recepcją antyku (dzisiaj w tym kierunku ewoluuje wiele filologii klasycznych w Europie).

OBTA stała się wkrótce zaczynem organizowania się nowego środowiska wykraczającego daleko poza moje plany i oczekiwania.

Najpierw, już w roku 1992, rektor Andrzej Wróblewski zwrócił się do mnie z prośbą, żebym „poświęcił rok” na uruchomienie w Uniwersytecie nowego systemu kształcenia w zakresie nauk humanistycznych i społecznych. Ten nowy tryb studiowania miał mieć charakter interdyscyplinarny i był adresowany do najambitniejszych kandydatów pragnących pracować pod indywidualną opieką tutorską. Tak powstały Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne (MISH), pierwszy nabór odbył się w czerwcu roku 1993. Ich pełne uformowanie zajęło mi jednak nie rok, lecz lat piętnaście. Działają one do dzisiaj pod nazwą Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych².

Kolejnym etapem było powstanie w 1999 roku międzyuniwersyteckiej struktury pod nazwą Akademia „Artes Liberales”, która połączyła środowiska szukające podobnych do MISH rozwiązań w czołowych polskich uniwersytetach.

Równolegle utworzyliśmy, również powiązaną z OBTA, Międzynarodową Szkołę Humanistyczną, aby zaprosić do współpracy kolegów ze Lwowa, Wilna, Kijowa i Grodna, czyli z terenów dawnej Rzeczypospolitej. Do chwili obecnej z tej oferty skorzystało prawie 4,5 tys. przedstawicieli młodej kadry akademickiej z regionu Europy Wschodniej. W ostatnich latach intensywnie budowaliśmy także współpracę z dzielającymi nasz stosunek do wolności akademickiej środowiskami w Rosji.

¹ Patrz J. Axer, *Antyk i my – perspektywa okresu transformacji*, [w:] *Antyk i my*, koncepcja i red. nauk. K. Marciniak, Warszawa 2013, s. 19–44.

² Zob. A. Wróblewski, *MISMaP – Koń Trojański w systemie szkolnictwa wyższego w Polsce*, [w:] *Szkolnictwo wyższe w obliczu zmian (Tomaszowice 15–17 listopada 2014)*, red. Sz. Biliński, seria: „Debaty PAU”, t. II, Kraków 2015, s. 75–81, oraz J. Axer, *Kiedy wreszcie Troja zostanie zdobyta? – Doniesienia z MISH-owego frontu*, [w:] tamże, s. 83–85.

Jako ostatnie z naszej inicjatywy powstało w Uniwersytecie Warszawskim w roku 2008 Kolegium Artes Liberales stawiające sobie jako cel wypracowanie polskiego modelu kształcenia w duchu tradycji „sztuk wyzwolonych” (*liberal arts*)³.

W sytuacji, w której OBTA stała się centrum tak rozbudowanej i zróżnicowanej działalności, nieunikniona okazała się ewolucja całej struktury. Od roku 2008 formułą nadrzędną stał się więc Instytut Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”, przekształcony po czterech latach w Wydział „Artes Liberales”. To w pewnym sensie paradoks, iż rangę wydziału uzyskało środowisko budowane jako alternatywa wobec tradycyjnych struktur wydziałowych.

Uniwersytet Warszawski okazał się miejscem, które umożliwia i wspiera działanie i rozwój środowisk łamiących akademicką rutynę i kierujących się bardziej poczuciem misji niż krótkoterminowym rachunkiem ekonomicznym. Można oczywiście taką strategię traktować podejrzliwie, jako utopijną próbę odwoływania się do misji inteligencji, w którą mało kto dziś wierzy⁴. W moim przekonaniu działamy jednak w sposób niezwykle pragmatyczny. Inwestujemy w przyszłość pomagając całemu Uniwersytetowi w transformacji. Nie jesteśmy też „klubem elitarnym” żyjącym na koszt innych jednostek organizacyjnych uczelni wykonujących „czarną robotę”. Pieniądze, które otrzymujemy z Uniwersytetu, dopełniamy bardzo poważnymi środkami pozyskiwanymi poza Uniwersytetem, w kraju i za granicą.

Nasze działania mają też szersze znaczenie doceniane przez kolejnych rektorów Uniwersytetu Warszawskiego: są świadectwem funkcjonowania autonomii uniwersyteckiej jako fundamentu pracy nauczycielskiej i badawczej i jej przydatności jako punktu wyjścia do sensownych reform⁵. Jestem bardziej niż kiedykolwiek pewny, iż wobec polskiego

³ Zob. J. Axer, *Od humanistycznej Respublica Litteraria do Kolegium Artes Liberales*, [w:] *Collegium/College/Kolegium. Kolegium i wspólnota akademicka w tradycji europejskiej i amerykańskiej*, red. nauk. M. O'Connor i P. Wilczek, Boston–Warszawa 2011, s. 16–21; por. też *The Humanities Today and the Idea of Interdisciplinary Studies*, ed. by B. Bokus, Warszawa 2011.

⁴ Por. J. Axer, *Inteligencja Europy Środkowej i Wschodniej po komunizmie*, [w:] *Narody i historia*, red. A. Rzegocki, Kraków 2000, s. 129–135.

⁵ O potrzebie wykształcenia ogólnego i w obronie autonomii uniwersyteckiej mówiłem i pisałem wielokrotnie. Zob. np. J. Axer, *Z tradycją antyczną w XXI wiek* (Wykład wygłoszony 16 stycznia 2001 r.), [w:] *Uniwersyteckie wykłady na koniec starego i początek nowego tysiąclecia*, red. E. Kamińska, Warszawa 2004, s. 31–43; tegoż, *Niezależność od Miasta*,

doświadczenia historycznego i polskiej tradycji kulturowej „autonomia uniwersytecka jest wartością szczególną i że jej właściwe wykorzystanie może istotnie poprawić zarówno samopoczucie środowiska jak i osiągnięcia przez nie wyniki”⁶. Uniwersytet Warszawski ma wszelkie dane, żeby być w Polsce wzorem takiego korzystania z autonomii.

[w:] *Autonomia Uniwersytetu. Jej przyjaciele i wrogowie*, red. J. Kieniewicz, Warszawa 2007, s. 17–22, oraz *Lekcja łaciny, czyli o wolności* (Wykład Inauguracyjny na Uniwersytecie Warszawskim wygłoszony 1 października 2007), [w:] tamże, s. 171–179, a także *Autonomia uniwersytetu i innowacyjność* (artykuł na podstawie referatu wygłoszonego na Zgromadzeniu Walnym PAN 27 maja 2010), „Nauka” 2010, nr 2, s. 7–10. Zob. też *International Perspectives on Liberal Education: An Assessment in Two Parts* (R.A. Detweiler and J. Axer), part B: *International Perspectives on Liberal Education: Polish Case Example*, [w:] *Transforming Undergraduate Education. Theory that Compels and Practices that Succeed*, ed. D.W. Harvard, Lanham–Boulder–New York–Toronto–Plymouth, UK 2012, s. 239–252.

⁶ Cytat z mojego wstępu do książki J. Axer, M. Wąsowicz, *Regula czy wyjątek? Interdyscyplinarność w polskich uniwersytetach*, Warszawa 2015.

Wiesław Barczyk
Wydział Geologii

Uniwersytet Warszawski 1952–1997 Moja praca, doświadczenia, ciekawostki

Moje pojawienie się na Uniwersytecie Warszawskim w roli pracownika naukowo-dydaktycznego wiązało się z faktem, że w latach pięćdziesiątych władze rządowe postanowiły utworzyć scentralizowany ośrodek szkolenia geologów na poziomie uniwersyteckim w jednym miejscu – w Warszawie.

Decyzja przeniesienia geologii z Torunia do Warszawy zapadła w 1952 roku. Do Warszawy zostali przeniesieni: prof. dr hab. Edward Passendorfer, asystenci mgr Wiesław Barczyk (autor wspomnień), mgr Zbigniew Kotański i mgr Halina Pugaczewska, a także studenci oraz część zbiorów geologicznych, bibliotecznych i aparatury.

W Warszawie z grupy toruńskiej została utworzona Katedra Geologii Ogólnej pod kierunkiem prof. dr hab. E. Passendorfera, który – podobnie jak w Toruniu podczas organizowania Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego UMK – został powołany na dziekana Wydziału Geologii UW. Zwiększone obowiązki Katedry spowodowały powiększenie jej składu osobowego. W Katedrze poza dziekanem pracowali: zast. prof. Stanisław Krajewski i Krystyna Wuttke, asystenci: mgr W. Barczyk, mgr Karol Bielikowski, mgr Maciej Hakenberg, mgr Z. Kotański, mgr H. Pugaczewska.

*

Mój kontakt z Uniwersytetem Warszawskim, a właściwie z gmachem Szkoły Głównej, nie był pierwszym kontaktem z tą uczelnią. Pierwsze spotkanie nastąpiło podczas okupacji niemieckiej, kiedy to Niemcy zamknęli dla Polaków wszystkie szkoły powyżej szkół powszechnych. Je-

dyny wyjątek stanowiły szkoły zawodowe (rzemieślnicze i kupieckie). Gdy dodatkowo ukończyłem siódmą klasę, rodzice wybrali dla mnie właśnie szkołę zawodową, która dawała dokumenty zabezpieczające przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Zapisali mnie do II Staatliche Handelsschule für Junge (II Państwowej Męskiej Szkoły Handlowej, przedwojennej Szkoły Kupców) przy ul. Pankiewicza. Zanim zacząłem uczęszczać na lekcje, Niemcy wyrzucili nas z przeznaczonego gmachu.

Pierwszym naszym zadaniem – zamiast lekcji – było przenoszenie mebli do nowego pomieszczenia, które mieściło się w prywatnych mieszkaniach w domu przy Krakowskim Przedmieściu 6. Następnie zostaliśmy przeniesieni do gmachu Szkoły Głównej Uniwersytetu Warszawskiego.

Cały teren Uniwersytetu był zajęty przez Niemców, a do Szkoły Głównej, wydzielonej z zespołu uniwersyteckiego, wchodziliśmy od ulicy Oboźnej przez furtkę obok ruin budynku, w którym przed wojną na pierwszym piętrze znajdowały się pomieszczenia Katedry Geologii i Mineralogii. Dalsza droga odbywała się przez piwnicę do głównej klatki schodowej. Wejście główne było zablokowane, gdyż prowadziło bezpośrednio na teren zajęty przez Niemców. W tym czasie w naszej szkole już działało harcerstwo. Ponieważ w naszej klasie były digestoria, nasz harcerski zastęp, a właściwie nasi drużynowi doszli do przekonania, że w ramach małego sabotażu będziemy produkować nitroglicerynę – choć mało znaliśmy się na chemii. Zdobyliśmy wszystkie potrzebne składniki i pewnego popołudnia wiosną 1942 roku pozostaliśmy w klasie, żeby rozpocząć produkcję. I może by się udało, gdyby nie to, że coś przedobrzyliśmy i wszystko wybuchło. Wyleciały szyby w digestorium i częściowo w oknach. Nam na szczęście nic się nie stało. Z nitrogliceryny nic nie zostało – poza wybitymi szybami i okopconą ścianą, reprimendą u dyrektora oraz zakazem zabawy w tego rodzaju produkcję, a także kosztami napraw digestorium i okien. Dyrektor załagodził całą sprawę, gdyż sam był „zamieszany” w nasze harcerstwo (był naszym harcmistrzem). Po tym wydarzeniu dość szybko przeniesiono naszą szkołę na ul. Długą, do bocznego skrzydła Pałacu pod Wiatrami (w tym budynku mieścił się także Arbeitsamt).

I to były pierwsze moje kontakty z Uniwersytetem Warszawskim.

*

Po przeniesieniu z Torunia do Warszawy zostaliśmy ulokowani w budynku Zrzeszenia Kupców Polskich przy ul. Oboźnej. Tam do czasu wy-

budowania własnego gmachu przy skrzyżowaniu ul. Banacha i ul. Żwirki i Wigury mieściły się Dziekanat i większość Katedr Wydziału Geologii, między innymi i nasza Katedra Geologii Ogólnej. (Kamień węgielny pod nowy gmach został położony w 1954 roku, a budowę ukończono w 1961.)



Wmurowanie kamienia węgielnego pod budynek Wydziału Geologii z udziałem dziekana prof. dr. hab. Edwarda Passendorfera w dniu 25 września 1954 r.

W październiku 1952 roku w Warszawie – od nowego roku akademickiego – rozpoczęliśmy zajęcia z geologii dynamicznej. W Toruniu na Geologii studiowało 20 studentów, zaś w Warszawie na pierwszym roku było ich 80. W tej sytuacji nie wystarczał przywieziony sprzęt. Brakowało wszystkiego – mebli, pomocy naukowych, a głównie mieszkań. Dlatego asystenci spali w pokojach, w których w dzień pracowali. Dużą część wyposażenia udało się wypożyczyć lub „wyprosić” od innych uczelni. Mnie udało się uzyskać od Uniwersytetu Poznańskiego ławki do urządzenia Sali Ślaskiej. Z biegiem czasu warunki się normowały. Aby mieć większe szanse na otrzymanie mieszkania, zdecydowaliśmy się z narzeczoną, Ewą Popiel, na przyspieszenie terminu zawarcia związku małżeńskiego. Istotnie, otrzymaliśmy przydział na wspólne mieszkanie

z drugim małżeństwem, tj. kolegą Zbyszkim Kotańskim i jego żoną Haliną, przy ul. Mostowej 30. Mieszkaliśmy tam do 1956 roku, tzn. do czasu zorganizowania przez pracowników wyższych uczelni Spółdzielni Mieszkaniowej „Oświata”.

Założenie spółdzielni mieszkaniowej stało się koniecznością, gdyż wyczerpały się możliwości uzyskania mieszkania kwaterunkowego dla pracowników uczelni. Natomiast można było zapisać się do powstających robotniczych spółdzielni mieszkaniowych. I pod takim szyldem, dzięki pomysłowości i wykorzystaniu kruczków prawnych, udało się powołać Komitet Założycielski. Powołano zarząd i radę nadzorczą. Pierwszym prezesem został prof. A. Strzeмиński, a członkami zarządu Zbigniew Chrupek (I sekretarz POP PZPR UW), Gustaw Lang z SGGW i Włodzimierz Kowalski z Wydziału Geologii. Do Rady Nadzorczej m.in. należałem również i ja. Po zarejestrowaniu się „Oświata” rozpoczęła działalność od zakupu od miasta domu przy ul. Waszyngtona nr 45/51. Już w 1957 roku przeniósłem się pod ten adres do pokoju z kuchnią, toaletą i łazienką. „Ciasne, ale własne” – na większy metraż nie było nas stać. W 1959 roku, w drodze wymiany w ramach spółdzielni, po urodzeniu się syna, otrzymałem dwupokojowe mieszkanie przy ul. Kirsjerów 8 (mieszkam w nim do chwili obecnej). We władzach spółdzielni pracowałem ok. 10 lat, tzn. do czasu, gdy przepisy prawne zmieniły zasadniczo istotę działania tego rodzaju instytucji.

W ciągu 45-letniej pracy na uczelni stopniowo awansowałem od asystenta do profesora uzyskując kolejne stopnie w karierze naukowej. W roku 1960 uzyskałem tytuł doktora nauk przyrodniczych, a właściwie stopień kandydata nauk za pracę pt. *Jura sulejowska*. Był to początek lat sześćdziesiątych i obowiązywała tytułatura radziecka. Dopiero po jakimś czasie zmieniono mi tytuł na doktora nauk przyrodniczych i już w takiej formie wydano mi dyplom. Sam proces uzyskania tytułu doktora nie różnił się bardzo od obecnego. Trzeba było przedłożyć wykonaną przez siebie pracę, którą oceniali recenzenci. W moim przypadku byli to prof. Henryk Makowski i prof. Henryk Świdziński. Należało zdać odpowiednie egzaminy z dwóch języków obcych, egzamin z filozofii i z geologii. Następnie przeprowadzić publiczną obronę tej swojej pracy przed Radą Wydziału i zgromadzoną publicznością (wcześniej był anons w prasie, że określonego dnia odbędzie się taka i taka obrona i że jest ona dostępna dla publiczności), uzyskać zatwierdzenie na Radzie Wydziału i w Komisji Kwalifikacyjnej w Ministerstwie

Szkół Wyższych, dodatkowo też urządzić „słodkie” przyjęcie dla Rady Wydziału. Taki panował wtedy zwyczaj na Wydziale Geologii, nawiązujący do tradycji międzywojennych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, skąd wywodził się dziekan i przybysze z UMK. Następnie po pewnym czasie odbywało się wręczenie dyplomu doktorskiego przez J.M. Rektora UW na specjalnej uroczystości, gdzie zarówno Rektor, jak i przedstawiciele Senatu, Dziekani oraz nowo kreowani doktorzy występowali w togach. Podczas tej uroczystości doktorzy składali uroczyste ślubowanie w języku łacińskim, podkreślające, że nie sprzeniewierzą się prawdzie w nauce.

Ponieważ język łaciński wychodzi już z użycia i nawet niewielu obecnych profesorów uniwersyteckich go zna, przytaczam tekst mojego ślubowania w oryginale:

SPONSIO SOLLEMINIS

PROMOTOR:

Examinibus, Doctorande clarissime, quae ad eorum, qui in scientiis naturalibus Doktoris nomen et honores consequi student, doctrinam explorandam lege constituta sunt, cum laude superatis, nos adiisti, ut te eo honore, quem appetiisti, in hoc sollemni consessu ornemus.

Sed prius fides est danda, te talem semper futurum, qualem te esse iubebit dignitas, quam optinebis, et nos te fore speramus.

Spondebis igitur:

Primum te huius Universitatis, in qua summum in scientiis naturalibus gradum ascenderis, piam perpetuo memoriam habiturum, eiusque res ac rationes, quoad poteris adiuturum:

Deinde – honorem eum, quem in te conlaturus sum, integrum incolumemque servantum, neque unquam pravis moribus aut vitae infamia commaculaturum:

Postremo – studia naturalia impigro labore culturum et provecturum non sordidi lucri causa nec ad vanam captandam gloriam, sed quo magis veritas propagetur et lux eius, qua salus humani generis continetur, clarius effulgeat.

Haec tu ex animi tui sententia spondebis ac pollicebere?

DOKTORANDUS : – Spondeo ac polliceor

Varsovie die 19.XII.1960

*W. Barczyk
podpis doktoranta*

PROMOTOR:

*Itaque iam nihili impedit, quominus honores, quos obtinere cupis, tibi imper-
tiamus. Ergo ego Promotor legitime constitutus te:*

Wiesław Barczyk

*ex decreto Ordinis Geologorum Doctorem creo, creatum renuntio omniaque
Doctoris scientiarum naturalium iura ac privilegia in te confero in eiusque rei
fidem hoc diploma Universitatis sigillo insignitum, tibi in manus trado.*

Varsovie die 5.IV.1962

DECANUS

Mikołaj Kostyniuk

(prof. dr hab. Mikołaj Kostyniuk)

PROMOTOR

Edward Passendorfer

*(prof. dr hab. Edward
Passendorfer)*

RECTOR

Stanisław Turski

(prof. dr hab. Stanisław Turski)

Takie ślubowanie składała jeszcze moja żona Ewa w roku 1967 i syn Grzegorz w roku 1994. Jego ślubowanie było jednym z ostatnich w języku łacińskim, obecnie składane są już jedynie po polsku. Uroczystość wręczania dyplomu doktorskiego kończyła lampka wina stawiana przez Rektora.

*

Habilitacja na Uczelni również odbywała się zgodnie z wymaganymi rygorami. Warunkiem było wykonanie i opublikowanie pracy, która wносиła „trwały dorobek w rozwój danej dyscypliny naukowej”. Ponadto należało przedłożyć Radzie Wydziału pracę habilitacyjną oraz wykaz całego dorobku naukowego.

Dwie recenzje dorobku naukowego wykonane przez niezależnych recenzentów, przeprowadzenie kolokwium habilitacyjnego, zgłoszenie trzech tematów wykładu habilitacyjnego, z których jeden zostanie wybrany przez Radę Wydziału. Następnie wygłoszenie wykładu udostępnionego szerokiej publiczności, zatwierdzenie stopnia przez Radę Wydziału, a w dalszej kolejności przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną oraz uroczyste wręczenie dyplomu doktora habilitowanego przez Ministra. Uroczystość kończył bankiet wydawany przez Ministra dla nowych habilitantów.

Dopiero habilitacja nadawała prawo do wykładania na uniwersytetach – było to tzw. *veniam legendi*.

Habilitowałem się w roku 1968 na podstawie pracy pt. *Upper Jurassic Terebratulids from the Mesozoic Border of the Holy Cross Mountains in Poland*. Recenzentami byli prof. Roman Kozłowski i prof. Adam Urbanek. Zawsze miałem takie „szczęście”, że moje osiągnięcia naukowe zbiegały się ze zmianami ustaw. W momencie obrony pracy habilitacyjnej uzyskałem tytuł naukowy docenta habilitowanego (tytuł, a nie stanowisko), ale dyplom już po zmianie przepisów dostałem jako doktor habilitowany. W tym też czasie otrzymałem stanowisko docenta.

Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego uzyskałem w roku 1975 po przeprowadzonym przewodzie na Wydziale Geologii. Po uzyskaniu pozytywnych opinii wydanych przez specjalistów (prof.

Uroczyste podpisanie aktu przyrzeczenia doktorskiego przez mojego syna Grzegorza w 1994 r. (w zastępstwie promotora prof. dr hab. D. Małeckiej – prorektor prof. dr hab. T. Macioszczyk)



Uroczystość podpisywania aktu przyrzeczenia doktorskiego mojej pierwszej doktorantki Małgorzaty Siemiątkowskiej w 1972 r.



Uroczyste wręczenie dyplomu doktorskiego mojej żonie Ewie w 1967 r. (dziekan prof. dr hab. Z. Pazdro, prorektor prof. dr hab. A. Polański, promotor prof. dr hab. A Urbanek)



Marię Rózkowską, prof. Wilhelma Kracha i prof. Henryka Makowskiego), zatwierdzeniu przez Radę Wydziału, Senat Uniwersytetu Warszawskiego i Radę Państwa – Przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński w sali Pompejańskiej w Belwederze wręczył mi dyplom stwierdzający nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego.

Równocześnie wręczono nadania 40 profesorom. Była to wielka feta w Belwederze z udziałem dziennikarzy i kroniki filmowej. Na zakończenie uroczystości wystawnym bankietem uhonorowano nowo mianowanych profesorów.

Wśród życzeń i gratulacji od znajomych i przyjaciół, które to otrzymałem, zwłaszcza jeden list był dużą niespodzianką. Był to list od kolegi, Tadeusza Kukieła, z którym kiedyś studiowałem w Toruniu i który po skończeniu studiów przekwalifikował się na radiotelegrafistę i pływał na statku. Wiadomość o mojej profesurze dotarła do niego w Hongkongu i stamtąd przesłał mi życzenia.

Niestety, już wyżej awansować na uczelni nie mogłem i zostałem z tym tytułem do czasu emerytury. Zmieniły się bowiem przepisy i w Polsce pozostał i obowiązuje już tylko jeden tytuł naukowy – profesor.

*

Moja kariera w administracji akademickiej przebiegała inaczej. Do czasu odejścia prof. E. Passendorfera na emeryturę pracowałem cały czas w Zakładzie Geologii Dynamicznej. Po odejściu profesora Zakład przejął doc. Z. Kotański, a ja zostałem oddelegowany do zorganizowania Muzeum Geologicznego przy Wydziale.



Wręczenie autorowi Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski w dniu 18 września 1978 r.

Prace organizacyjne rozpocząłem natychmiast, dzięki czemu już z początkiem roku akademickiego 1967/1968 Muzeum zostało otwarte.

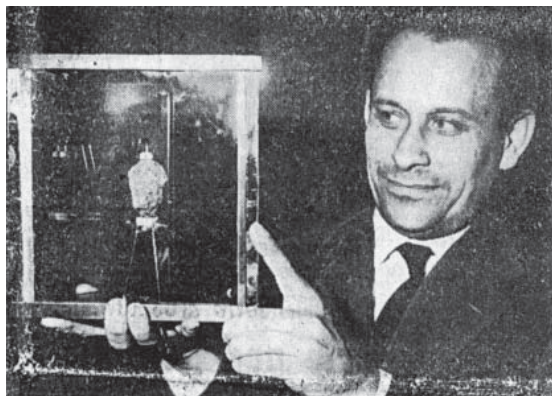
11 listopada 1971 roku Muzeum wystawiło fragment skały księżycowej przywiezionej przez kosmonautów amerykańskich z ekspedycji Apollo 11. Było to „kosmiczne wydarzenie” dla nauki polskiej i odbiło się szerokim

echem w całym kraju. W trakcie uroczystego rautu w ambasadzie amerykańskiej miałem okazję poznać kosmonautę N. Armstronga oraz ambasadora USA w Polsce W. Stoessela.

Kolejnym ważnym osiągnięciem Muzeum było wystawienie po raz pierwszy w Polsce szkieletów dinozaurów, przywiezionych z pustyni Gobi przez polską ekspedycję zorganizowaną przez PAN. Następnie przeniesiono wystawę do Pałacu Kultury.

Działalność Muzeum była wysoko oceniana przez uczelnię, a zwłaszcza przez Rektora UW prof. Zygmunta Rybickiego, który większość swoich zagranicznych gości przyprowadzał do niego.

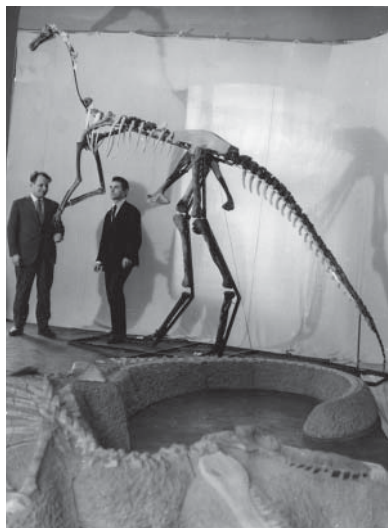
Praca w Muzeum nie uwolniła mnie od obowiązków dydaktycznych. Nadal wykładałem, wprowadzając już nie tylko dla studentów geologii, ale także geografii, archeologii i geofizyki. Niezależnie od tego prowadziłem również kursy terenowe dla pierwszego, a często i dla trzeciego roku. Z czasem kursy terenowe stały się moją specjalnością.



Fragment skały księżycowej przywieziony przez wyprawę „Apollo 11”, wystawiony po raz pierwszy w Polsce w Muzeum Wydz. Geol. UW w 1971 r.

*

Pełniłem też funkcje w administracji akademickiej. Przez prawie dwie kadencje byłem prodziekanem do spraw studenckich. (W tym czasie Rektorat organizował dla dziekanów dwudniowe konferencje dydaktyczno-doszkalające, były to konferencje wyjazdowe. Głównie odbywały się w Jachrance. Popularnie nazywano je „dziekańskimi rekolekcjami”.) Byłem kierownikiem Studium Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych oraz brałem wielokrotnie udział w licznych komisjach senackich, z których najważniejsze to Komisja do Spraw Badań Umownych (przekształcona następnie w komisję rektorską), w której byłem wiceprzewodniczącym, Komisja Senacka do spraw Archiwum, Muzealna Komisja Senacka oraz Senacka Komisja Prawno-Statutowa. Przez wiele lat byłem także członkiem Rady Naukowej Uniwersyteckiej.



Dinozaury z pustyni Gobi wystawione w 1968 r. w Muzeum Wydz. Geol. UW

go Centrum Badań nad Środowiskiem Przyrodniczym.

Ponadto od 1985 roku do dziś jestem członkiem, a nawet wiceprzewodniczącym Rady Naukowej Tatrzańskiego Parku Narodowego.

*

Przeniesienie Wydziału Geologii z Torunia do Warszawy okazało się wielkim wyzwaniem i otworzyło wiele możliwości. Szereg instytucji w stolicy odczuwało brak fachowców, w tym przypadku wykształconych geologów. W związku z tym pojawiły się propozycje pracy. Pierwszą propozycję i zatrudnienie otrzymałem w Wydawnictwach Geologicznych. Uzyskałem zgodę ministra, co prawda tylko na pół roku, i rozpocząłem pracę jako redaktor. Udało mi się w tym czasie opracować redakcyjnie kilka artykułów i *Słownik geologii dynamicznej*. Minister nie przedłużył mi jednak zezwolenia na pracę w Wydawnictwach, a zaproponował pracę konsultanta w Zjednoczeniu Robót Wiertniczych i Fundamentowych. Przedsiębiorstwo to wykonywało dokumentacje geologiczne złóż surowców mineralnych, lecz miało słabe kadry geologiczne. Sekcja geologii opierała się tylko na jednym geologu. Pracowałem tam ponad dwa lata razem z drugim pólstatowcem prof. H. Makowskim. Do moich obowiązków należało kontrolowanie, czy to, co przedsiębiorstwo przedkłada do zatwierdzenia, jest dobre, wykonane prawidłowo i czy złożę nadaje się do eksploatacji oraz zatwierdzenia w Komisji Zasobów CUG. Po kilku latach i w ramach reorganizacji przedsiębiorstwa zrezygnowałem z tej pracy.

Trzecią dodatkową pracę zaproponował mi prof. Zdzisław Pazdro w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej Północ w Gdańsku na stanowisku hydrogeologa. Zostałem projektantem dokumentacji hydrogeologicznych w rejonie Warszawy. Wykonałem kilka drobnych i parę większych dokumentacji, z których niektóre weszły do realizacji, np. ujęcie wody dla nowej fabryki traktorów w Ursusie, zaopatrzenie osiedla mieszkaniowego w Ursusie, czy opracowanie gospodarki wodno-ście-

kowej dla spalarni śmieci w Radiowie. Dodatkowe obowiązki związane z pracą na Uniwersytecie zmusiły mnie do rezygnacji z tej pracy. Jedynie jeszcze przez dwa lata uczyłem w Technikum Ceramicznym chemii organicznej.

*

Wydział powierzył mi kierowanie geologicznymi kursami terenowymi. Kursy te organizowałem w wielu miejscach w Polsce, a w niektórych nawet kilkakrotnie, między innymi: w Górach Świętokrzyskich – w Chęcinach, Łagowie i Bocheńcu, w Sudetach, w Górach Kaczawskich w Wojcieszowie, w Tatrach na Groniku, w Jaszczurówce, okolicach Krakowa – w Krzeszowicach.

Podczas kursów terenowych w Chęcinach powstała koncepcja wybudowania własnej bazy naukowo-dydaktycznej u podnóża zalewu nidziańskiego w nieczynnym kamieniołomie na górze Rzepce w Chęcinach. Co prawda koncepcja zalewu nidziańskiego upadła, ale baza naukowa została wybudowana i otwarta w 2015 roku.

Na kursie liczba uczestników wahała się od 80 do 120 osób. Uczestnikami byli studenci, asystenci, personel techniczny, kierownicy i obsługa kuchni. To były inne czasy.

Dzisiaj kierownika angażują tylko sprawy studenckie i asystenckie, a resztę załatwiają wyspecjalizowane przedsiębiorstwa. Wówczas studentów w teren rozwoziło się samochodami ciężarowymi, a nie – jak obecnie – autokarami. Warto również zauważyć, że znalezienie trzeźwego kierownika było sukcesem. Kursy trwały miesiąc lub sześć tygodni. Zajęcia



Kurs Geologiczny w Chęcinach w 1956 r. Rezerwat geologiczny im. J. Czarnockiego w Śluchowicach

odbywały się bez względu na pogodę, od godziny 8 rano do godz. 16, potem był czas wolny lub zajęcia kameralne. Utrzymanie młodzieżowego zespołu, który po raz pierwszy wyrwał się z domu spod opieki rodzicielskiej na wolność, nie było przy tym proste. Niekiedy sprawa kończyła się dla delikwenta wyrzuceniem z kursu. Przyczyna była prze-

ważnie jedna – alkohol. Nie było problemu z nauczaniem, ale często były problemy z samochodami, które nadspodziewanie często się psuły lub pijany kierowca był niezdolny do jazdy.

Dobrze zapamiętałem problem związany z mapami potrzebnymi dla studentów na kursie kartowania w Wojcieszowie. Zamówiliśmy odpowiednie mapy w skali 1:25.000 Gór Kaczawskich w Sudetach w Wojсковym Instytucie Kartografii. Otrzymaliśmy je bardzo szybko, gdyż był to przedruk map poniemieckich. Jednakże Urząd Kontroli Prasy i Wi-



Apel poranny studentów trzeciego roku na kursie kartowania geologicznego w Tatrach, Gronik 1953 r.

dowisk nie wyraził zgody na udostępnienie ich studentom, ponieważ w tym czasie były one opatrzone pieczęcią tajności. A przecież nie uda się nauczyć studenta kartowania geologicznego bez dania mu podkładu (mapy) terenu, na której ma odwzorować geologię tego terenu. Kurs już się zaczynał, a my nadal nie mieliśmy map. Postanowiliśmy zatem wykonać je we własnym zakresie. Posiadaną mapę

w skali 1:100.000 powiększyliśmy przy pomocy zwykłego epidiaskopu do potrzebnej nam skali, przerysowaliśmy ręcznie na kalkę techniczną, w zaopatrzonej biurze projektowej zrobiliśmy odpowiednią ilość odbitek „ozalidowych” (w tym czasie nie było jeszcze w Polsce w powszechnym użyciu kserografów) i rozdaliśmy studentom. Zdając sobie jednak sprawę, że było to pewnego rodzaju przestępstwo, mimo że przepis UKPiW był nielogiczny, po zakończeniu kursu mapy zostały zniszczone.

*

Oprócz takich „drobiazgów” były także poważne wydarzenia dotyczące studentów, które głęboko zapadły w mojej pamięci. Najgorsze i najgroźniejsze były wypadki losowe. Na przykład jeden z asystentów odpał od ściany w odsłonięciu „Szczerba” na Górze Zelejowej i złamał sobie podstawę czaszki.

Szczęśliwie szybka pomoc pozwoliła uratować mu życie. Jedna ze studentek spadła z kolei z murów obronnych na zamku w Chęcinach

– wtedy w szpitalu okazało się, że została na tych murach postrzelona i dlatego spadła. Ponieważ były to lata pięćdziesiąte, więc od razu dochodzenie rozpoczął Urząd Bezpieczeństwa. Padwały pytania – kto ma broń i dlaczego z niej strzelał. Po prostu sprawa polityczna. Okazało się, że sprawcą była milicja obywatelska, która tego dnia urządziła sobie ostre strzelanie. Pod murami zamku, nie uprzedzając nikogo ani nie oznaczając terenu, stworzyła śmiertelne zagrożenie. Nasza studentka została postrzelona



przypadkowo, gdy jeden z milicjantów rozładowywał broń. Kadra kierownicza kursu kartowania geologicznego w Wojcieszowie w Sudetach w 1954 r. Od lewej: mgr Otylia Panek, mgr Irena Bobrowska, mgr Helena Ozonkova, prof. Józef Gołąb, mgr Janusz Ansilewski, mgr Andrzej Błaszkie- wicz, mgr Alina Falkiewiczowa, mgr Krystyna Korejwo

Inny groźny wypadek miał miejsce w czasie powrotu z Góry Zamkowej. Na grupę studentów wpadł samochód osobowy. Kierowca zaczął uciekać, gdy zorientował się, że potrącił człowieka. Nie zauważył przy tym, że druga osoba wpadła mu pod samochód. Osobie tej udało się wszakże uchwycić za zderzak, a sprawca, uciekając, ciągnął ją po szosie. Ludzie usiłowali zatrzymać szaleńca, ten jednak, obawiając się samosądu, jechał dalej. W końcu został zatrzymany i wtedy dotarło do niego, że cały czas ciągnął pod samochodem dziewczynę. Po przybyciu milicji okazało się, że kierowca był pijany. Całe szczęście, że poszkodowana była dostatecznie silna, utrzymała się na zderzaku i że wszystko zakończyło się tylko ogólnymi potłuczeniami, otarciem skóry i parotygodniowym pobytem w szpitalu.

*

Niecodzienny przebieg miał kurs, który odbywał się w stanie wojennym w Chęcinach. Poza zwykłym kierownictwem kurs miał przydzielonego specjalnego komisarza wojennego. Był to wojskowy w randze majora, mający nas pilnować. Kursu tego nikt z pracowników Wydziału nie chciał prowadzić ze względu na odpowiedzialność polityczną oraz trud-



Ćwiczenia terenowe studentów w Sudetach – „Komunikacja międzymiastowa” między Tąpadłami a Dzierżoniowem w roku 1958

ności aprowizacyjne (brak żywności i benzyny). Ponieważ lubię ryzyko, podjąłem się tego zadania. Okazało się, że obecność komisarza zmobilizowała studentów do sensownego zachowania, a mnie ułatwiła starania o żywność. W rezultacie był to kurs udany zarówno pod względem dydaktycznym, jak i aprowizacyjnym. Po dwukrotnym zarejestrowaniu kursu

(nb. niezgodnie z przepisami), raz jako obozu wypoczynkowego dla studentów w Urzędzie Wojewódzkim i drugi raz jako kursu naukowego w kuratorium, otrzymałem podwójne kartki żywnościowe dla każdego studenta. Ten niezgodny z przepisami zabieg spowodował, że, wbrew przewidywaniom, kurs był dobrze zaopatrzony nie tylko w podstawową żywność, ale i dodatkowo nasi studenci mieli nawet białe bułki na śniadanie, słodycze, papierosy oraz środki czystości. Te ostatnie w takiej ilości, że robili sobie zapasy na przyszłość.

Właściwie można by omawiać każdy kurs osobno, gdyż na każdym działo się coś ciekawego i na każdym dochodziło do wydarzeń, które zostały na stałe w pamięci uczestników. Dla przykładu poniżej przedstawiam bardziej szczegółowo kilka wydarzeń.

30 czerwca 1954 roku w Polsce można było obserwować zaćmienie słońca. Najpełniejsze zaćmienie było obserwowane w okolicach Suwałk i Sejna. Wydział na wniosek prof. dr. hab. Józefa Gołąba zorganizował w tym czasie badania nad zachowaniem się wód powierzchniowych i podziemnych w czasie całkowitego zaćmienia. Brałem udział w tych badaniach w Sejnie. Pod obserwacją miałem trzy studnie. Moje stanowisko obserwacyjne znajdowało się w pobliżu dzisiejszego ujęcia wody pitnej dla Sejna. Obserwowaliśmy zachowanie się wód podziemnych w studniach. Były to bardzo ciekawe obserwacje. W momencie, kiedy księżyc zbliżał się i zaczynał przesłaniać słońce, woda w studniach powoli podnosiła się. Osiągała apogeum w momencie połowicznego przesłonięcia słońca i ponownie powoli zaczynała opadać. Wahania średnio wynosiły

około 40 cm. Mielśmy więc zjawisko pływu wód podziemnych na lądzie pod przykryciem utworów czwartorzędowych wywołane zwiększonym przyciąganiem nałożonych na siebie mas słońca i księżyca na określony punkt na ziemi. Równocześnie zachodziły wyraźne zmiany w przyrodzie. Słońce zaczęło gasnąć i tracić swój blask, zaczął zapadać zmrok, aż zrobiło się całkiem ciemno. Ustał całkowicie ruch powietrza, ptaki przestały śpiewać, bydło z rykiem rozpoczęło powrót do domów. Zapanała dziwna cisza, a u mnie pojawiło się jakieś trudne do opisanie uczucie grozy. Słońce było całkiem niewidoczne, ciemne, otoczone tylko aureolą świetlną – koroną. Po kilku minutach księżyc zaczął odsłaniać tarczę słońca. Ożywiły się ponownie ptaki i pojawił się wiatr. Zaćmienie słońca skończyło się. Profesor J. Gołąb nigdy nigdzie nie przedstawił i nie opublikował wyników tych obserwacji, gdyż nie miał możliwości ich zweryfikowania (nie doszło za jego życia do drugiego całkowitego zaćmienia słońca w Polsce). Powyższe obserwacje zdają mi się być interesujące, więc przytaczam je jako ciekawostkę przyrodniczą.

Mój współudział w zorganizowaniu drugiej wyprawy badawczej geologiczno-kartograficznej na Kaukaz, w ramach wymiany pracowników i studentów z Moskiewskim Uniwersytetem, miał miejsce w roku 1959. Ze strony polskiej poza mną brali udział: prof. Kazimierz Guzik, mgr Wanda Jaczynowska, doc. Jerzy Lefeld, doc. Piotr Roniewicz, mgr Krystyna Niemczynowicz, Andrzej Iwanow oraz kilku studentów, których nazwisk już nie pamiętam.

Wyprawa zaczęła się od przygotowania nas do korzystania podczas prac terenowych ze zdjęć stereoskopowych i lotniczych. Były to początki stosowania tych metod na szerszą skalę.

Wyjazd rozpoczynał się w Moskwie, skąd miała wyruszyć wyprawa na Kaukaz. W tym czasie żadna grupa zagranicznych nie mogła jechać bezpośrednio w teren, lecz musiała być zaakceptowana w Moskwie. Siedzielśmy więc w mieście i nic nie było słyhać o naszym wyjeździe. Mielśmy przydzielonego opiekuna, który oprowadzał nas po mieście i pokazywał wszystkie możliwe do zwiedzania zabytki, a którego rola głównie polegała na obserwowaniu, czy nadajemy się do takiej „tajnej” pracy terenowej jak kartowanie Kaukazu, zwłaszcza obszarów roponośnych.

Po kilku dniach, gdy już obejrzelśmy dokładnie gmach MGU, metro ze wszystkimi stacjami, Kreml z jego cerkwiami i muzeami, Muzeum

Rosji, operę w Pałacu Zjazdów wraz z przedstawieniem „Borys Godunow”, gmach Bolszoi Teatru, gdzie obejrzelśmy przedstawienie baletowej „Chopeniady”, rybki w soborze Wasyla Błażennego (w tym czasie był on zamieniony na akwarium), Galerię Trietiakową oraz Wszechzwiązkową Wystawkę, postanowiliśmy zwiedzać Moskwę sami, na własną rękę, bez urzędowego opiekuna. Aby to jednak było możliwe, należało go zgubić. Ponieważ bardzo dobrze nam płacili (10 rubli dziennie tylko na wyżywienie, a w tym czasie bilet w metrze kosztował 5 kop., 1 litr benzyny 4 kop., śniadanie w stołówce 1 rb., obiad 1–2,5 rb., kolacja 1 rb.) zrobiliśmy składkę – jeden z kolegów poświęcił się i siedł z opiekunem na wódkę, a reszta zwiedzała Moskwę. Nie było to jednak takie znowu proste, aby „urwać” się opiekunowi. Zastosowaliśmy więc chytry zabieg. Metro w Moskwie chodzi po wielkim kole. Wsiadaliśmy do metra i na każdej następnej stacji jeden z nas w ostatniej chwili wysiadał, czekał na następny pociąg i wsiadał do pierwszego wagonu – i tak spotykaliśmy się razem, ale już bez dyżurnego kolegi i opiekuna. Dość często nam się to udawało, ale nie zawsze. Po kilku dniach takiego indywidualnego zwiedzania, teraz już z bardzo pozytywną opinią opiekuna (wolał się nas pozbyć, niż za nas odpowiadać), nastąpił wyjazd do Adleru. W samolocie Moskwa–Adler pasażerowie zachowywali się jak w podmiejskiej kolejce podczas okupacji w Warszawie. Wszyscy z walizami pełnymi artykułów, które można było kupić w Moskwie, a które były niedostępne na prowincji oraz, co było dla nas dziwne, z koszami pełnymi żywego drobiu. Lądowanie też było imponujące. Samolot schodził nad morze i kiedy fale dotykały już prawie podwozia, wchodził na krótki pas startowy gwałtownie hamując, aby nie wjechać w pola na zboczach gór. Zrobiło to na nas ogromne wrażenie. Z Adleru, po zwiedzeniu miasta i zaliczeniu przedstawienia w miejscowej operze – „Aidy”, wyjechaliśmy w teren. Środkiem transportu był samochód ciężarowy typu Zis-5, który poza nami wiozł cały sprzęt terenowy plus 200-litrową beczkę z benzyną, ponieważ w górach nie było stacji benzynowych. Dojechaliśmy do osiedla Krasnowola nad rzeką Laurą, gdzie znajdowała się nasza baza. Nastąpił podział naszej grupy na dwie podgrupy, z których jedną miał „dowodzić” prof. K. Guzik, a naszą, złożoną głównie z Rosjan – prof. Nikołajew. W skład tej drugiej z Polaków weszły trzy osoby: mgr J. Lefeld, mgr K. Niemczynowicz i ja. Nasza grupa pozostała na miejscu, reszta pojechała dalej. Przewodniczący kołchozu przydzielił nam chałupę, w której mieliśmy mieszkać. Był to magazyn suszonych

śliwek i orzechów włoskich (według tubylców – greckich), które szybko wywieźli taczkami do innego pomieszczenia, a my wnieśliśmy nasze rzeczy łącznie z połowymi łózkami. Warunki były bardzo prymitywne. Można się było myć albo przy studni, albo w miedniczkach przeznaczonych do szlamowania otwornic. Studnia była płytka, obudowana drewnem, a wodę wyciągało się żurawiem. Na szczęście dom był zaopatrzony w światło elektryczne, które było automatycznie włączane o zmroku i świeciło się do rana, ponieważ nie było żadnych wyłączników. Radziliśmy sobie przez wykręcanie żarówek, co było źle widziane przez lokalne władze. Gotowanie odbywało się na ognisku, ale ten problem nas nie dotyczył, gdyż każda grupa miała przydzieloną „powarichę” (kucharkę), która doskonale sobie radziła z taką kuchnią (trójnóg z kociołkiem) i zawsze przygotowywała obiad wielodaniowy. Nasza praca polegała na kartowaniu terenowym w oparciu o zdjęcia lotnicze.

Po raz pierwszy w życiu mogłem przekonać się, że szklane góry istnieją nie tylko w bajkach i u Tomasza Manna, ale i w rzeczywistości. Oglądałem potężne kilkudziesięciometrowe zbocza gór zbudowane ze szkliwa wulkanicznego – obsydianu, ogromne wielometrowe piargi wapienne tworzące współczesne konglomeraty lub brekcje wapienne, zlepione współczesnym lepiszczem wapiennym. I właśnie na takim stożku współczesnego wapienia, chcąc odkryć właściwą skałę podłoża, wisząc na linie i odkuwając konglomerat, odpadłem od ściany. Zjechałem kilkadziesiąt metrów w dół. Zawiesiłem się na jakimś krzaku, z którego zdjęli mnie koledzy, ale nie odbyło się to bezboleśnie. Zwicnąłem sobie prawą rękę, którą na miejscu przy pomocy kolegów udało mi się nastawić. Uraz został i do końca mojego pobytu na Kaukazie nosiłem prawą rękę na temblaku. Podczas badań terenowych udało mi się także zebrać z doliny rzeki Laury dużą kolekcję jeżowców górnokredowych z rodz. *Echinocorys*. Niestety nie mogłem ich opracować, ponieważ na granicy podczas powrotu do Polski celnicy radzieccy zabrali wszystkie



Kaukaz, „Szklana Góra”. Na zdjęciu: doc. Piotr Roniewicz, prof. N. Nikołajew (MGU), prof. K. Guzik, doc. J. Lefeld, kand. nauk Nina Walentynowna (MGU), mgr K. Niemczynowicz

kartki z podpisami i lokalizacją. W pracy byliśmy jednakże grupą „uprzywilejowaną”. Polegało to na tym, że każdy dyplomowany geolog miał do pomocy jeszcze dwóch ludzi – jednego do noszenia plecaka z kamieniami i drugiego, z bronią, do ochrony. Mając prawą rękę na temblaku nie mogłem pisać, dlatego w mojej grupie był jeszcze trzeci uczestnik w charakterze pisarza. Praca w terenie odbywała się w systemie trzydniowym. Co trzeci dzień następował jeden dzień odpoczynku w bazie. Polacy pracowali w systemie tygodniowym i odpoczywali jedynie w niedzielę. Taki rozkład pracy pozwalał na szybsze wykonanie powierzonego nam zadania, zwłaszcza że mieliśmy dostęp do zdjęć lotniczych (które były niedostępne dla większości grup rosyjskich ze względu na tajność materiałów) i zyskiwaliśmy w ten sposób kilka dni wolnych. W tych dniach zwiedzaliśmy plaże Morza Czarnego i znane miejscowości, takie jak Soczi, Adler, Afon itp. Zwiedzanie było o tyle ułatwione, że oddano nam do dyspozycji samochód ekspedycji kaukaskiej, a nocowaliśmy gdzie popadło, więc głównie na plażach, na łóżkach polowych, czego Rosjanom robić nie było wolno (nam prawdopodobnie też), ale nas wołała straż graniczna nie zaczepiać. Odstraszały ich dwujęzyczne (w języku rosyjskim i angielskim) napisy na samochodzie i namiotach. Jedyny raz, kiedy nocowaliśmy w rezerwacie w lesku eukaliptusowym nad małym jeziorkiem, dołączyła do nas „grupa turystów”, która nas delikatnie pilnowała, śpiewając z nami pieśni polskie i dumki ukraińskie przy wspólnym ognisku, popijając nasze wino i dziwiąc się, że wolimy nocować w lesie, a nie w „turbazie”. Na drugi dzień byli całkowicie zaskoczeni, że my wracamy do pracy i nie mamy specjalnego zezwolenia na pobyt w tym lesie. A propos – wino. U naszych gospodarzy można było dostać za darmo suszone śliwki, figi, orzechy czy też granaty, których w żadnym przypadku nie sprzedawali. Natomiast wino, które sami produkowali, można było dostać jedynie na suku (targu). Handlowanie winem z naszym gospodarzem wyglądało w sposób następujący: gospodarz brał bańkę z winem, zawiadamiał sąsiadów i wędrował razem z nami na rynek, gdzie zasiadaliśmy przy straganie na ławach i zaczynała się degustacja przyniesionych win gospodarza i jego sąsiadów. A były to dobre gatunki win: słodkie czerwone – Isabella, oraz wytrawne – carskie wino Chwanczkara. Degustacja trwała tak długo, jak byli jeszcze chętni do picia, a potem ze śpiewem i na rauszu wracaliśmy razem do domu. Czasami na rynku kupowaliśmy owoce winogron, granaty, figi, aiwy (odmiana pigwy) i kawony (arbuzy). Raz tylko na samym początku miałem pewne trudności z zakupem arbuza. Podeszliśmy

do gospodarza, który miał ich całą piramidę. Kupiec zaproponował cenę 5 rubli, co nam zdawało się bardzo drogo, więc zaczęliśmy się targować. Gdy wywalczyliśmy cenę jednego rubla, gospodarz ustąpił, wziął rubla i odszedł. Natomiast my zostaliśmy z całym stosem arbuzów. Wzięliśmy jednego i chcieliśmy odejść, na co pozostali gospodarze nie chcieli nam pozwolić, gdyż musieliby je sami sprzątnąć. Cóż nam pozostało do zrobienia? Zabraliśmy tylko tego jednego kupionego (w naszym mniemaniu) arbuza – i uciekliśmy nie pokazując się na rynku przez kilka dni.

Zdarzały się niestety również groźniejsze przypadki. Jedna ze studentek podczas deszczu chciała wzmóc ogień na ognisku. Dolała do ognia pół wiadra benzyny, a przy okazji oblała nią i siebie. Dzięki przytomności prof. J. Lefeldy i naszej szybkiej reakcji ogień udało się ugasić i uratować studentkę od większego nieszczęścia. Przeleżała jednak kilka miesięcy w szpitalu i ślady poparzenia ma do dzisiaj.

*

Po czterotygodniowym pobycie w terenie, wykończeniu i oddaniu prac przed terminem, część Polaków postanowiła wyjechać z Kaukazu i w zaoszczędzonym czasie zwiedzić Leningrad. Wywołało to wielkie zdziwienie w kierownictwie ekspedycji. W jego mniemaniu był to przejazd, bądź co bądź, przez pół świata i należało, zwłaszcza bilety kolejowe, załatwiać na kilka miesięcy wcześniej. Kierownictwo nie bardzo radziło sobie z organizacją, ale po wielkiej awanturze na dworcu kolejowym w Soczi i powołaniu się na umowy międzynarodowe, naczelnik stacji znalazł rozwiązanie. Po prostu wyprosił pasażerów z jednego przedziału i udostępnił go nam. Podróż do Leningradu trwała dwie doby.

W Leningradzie dzięki uprzejmości Rektora Uniwersytetu Leningradzkiego zostaliśmy za darmo zakwaterowani w domu akademickim, a także uzyskaliśmy rozkład pracy na czas pobytu, który ograniczał się do jednej kurtuazyjnej wizyty w Rektoracie i planu zwiedzania miasta i muzeów. Obejrzelśmy Ermitaż i Pałac Zimowy, Górne Muzei (Muzeum Górnicze) ze zbiorami mineralogicznymi wywiezionymi za czasów carskich z Warszawskiego Muzeum Przemysłu i Handlu, Kazanecki Sobór ze słynnym wahadłem Foucaulta i Petropawłowską Kreposcą (twierdzą) oraz Peterhof. Po kilku dniach powróciliśmy do Moskwy, gdzie spotkaliśmy się z resztą grupy i udaliśmy się w drogę powrotną.

*

Warto może jeszcze wspomnieć o strajku okupacyjnym studentów geologii w 1981 roku. Był to strajk nietypowy. Po uzgodnieniu władz Wydziału i organizatorów strajku obowiązywał on jedynie studentów młodszych lat, a studenci od trzeciego roku wzwyż byli z niego zwolnieni. Strajk odbywał się w części dydaktycznej w gmachu geologii. Korytarze zostały od pozostałej części gmachu, gdzie odbywała się normalna praca, odgródzone stołami i ławkami wyniesionymi z sal seminaryjnych. Dziekan zezwolił na wydanie z magazynów ze sprzętem terenowym łóżek i pościeli, oraz pozwolił na uruchomienie w piwnicach rezerwowych sanitariatów. Ponieważ w części gmachu objętej strajkiem znajdowała się sala wykładowa przystosowana do wyświetlania filmów, Komitet Strajkowy nawiązał kontakty z ambasadami amerykańską, francuską i rosyjską w sprawie wypożyczania im filmów przyrodniczych. Filmy te były wyświetlane po organizowanych zebraniach strajkowych. Nie spodobało się to „panom z pałacu Mostowskich”, zrobili więc rewizję w gmachu i zarekwirowali dwa filmy. Pech chciał, że zarekwirowali akurat filmy wypożyczone z Ambasady ZSRR. Ambasada zażądała zwrotu i przeprosin. Jak to się skończyło, tego nie wiem.

O ile dobrze pamiętam sam strajk zakończył się bez żadnych groźnych konsekwencji dla naszych studentów.

*

Wydział Geologii podpisał porozumienie z Tatrzańskim Parkiem Narodowym w sprawie prowadzenia badań naukowych na terenie Parku Narodowego. Razem z prof. dr hab. Danutą Małecką zorganizowaliśmy bazę naukową do badań hydrogeologicznych w Tatrach na Łysej Polanie. Początkowo była to baza przeznaczona jedynie do badań hydrogeologicznych prowadzonych przez nasz zespół w Tatrach, a następnie została przejęta przez Zakład Hydrogeologii UW. Niestety, obecnie już nie istnieje.

*

Koniec lat pięćdziesiątych zapoczątkował okres indywidualnych wizyt gości zagranicznych. Jako jeden z pierwszych przybył z wizytą profesor A. Nestler z Uniwersytetu w Greiswaldzie w NRD. Był on specjalistą od faun kredowych i poza wygłoszeniem referatu głównym jego marzeniem było zapoznanie się z odsłonięciami kredowymi w Polsce. Pojechaliśmy z nim we trójkę (Andrzej Radwański, Ewa i ja) w teren.

Odsłonięcia, które go najbardziej interesowały, występują na terenie Lubelszczyzny i nad Bugiem. Udaliśmy się początkowo do Kornicy i Mielnika nad Bugiem, tuż nad samą granicę radziecką. Było to wielkim przeżyciem dla naszego gościa, który panicznie bał się Rosjan i obawiał się, żeby go przypadkiem nie zaaresztowali w strefie nadgranicznej. Drugim szokiem było dla niego to, że tak znakomitego gościa z zagranicy chcące go uhonorować władze miasta Lublina zakwaterowały nie w hotelu, a w pokojach gościnnych komitetu wojewódzkiego partii. Gdy zatem profesor chciał dostać się do pokoju, za każdym razem musiał przechodzić przez bramę obok wartownika z karabinem, który sprawdzał jego przepustkę.

Następnym odwiedzającym, który także miał przygody pozasłużbowe, był profesor geologii z Uniwersytetu Moskiewskiego. Profesor W. Makridin podczas wojny służył w armii radzieckiej, w której pełnił funkcję lekarza (?) i „wyzwalał” Polskę. Jego marzeniem, poza zapoznaniem się z odsłonięciami jurajskimi, była chęć odwiedzenia miejsc, w których kwaterował w czasie wojny. Pragnął znaleźć ślady potwierdzające, że ktoś go pamięta z tamtych czasów. Znając zwyczaje radzieckie nie sądził, że jest to możliwe bez specjalnych zezwoleń. Powiedział nam o tym, a właściwie mojej żonie, podczas pobytu w terenie. Był więc bardzo zdziwiony, gdy bez żadnych starań i zezwoleń zmieniliśmy trasę przejazdu i pojechaliśmy do interesujących go miejscowości, między innymi do Nowego Sącza. Tam rzeczywiście znalazł dom i ludzi, u których mieszkał, a oni mu nawet pokazali księgę meldunkową, w której było zapisane jego nazwisko. Wyciągnął z tego bardzo dziwne i daleko idące wnioski, a mianowicie, że muszę być bardzo „wysoko postawionym czynownikiem”, iż mogę sam o takich rzeczach decydować.

Potem przez wiele lat polecał mnie swoim kolegom, aby zwracali się do mnie, gdy sami nie mogą czegoś załatwić w Polsce. Czasami były to sprawy dość błahe. Na przykład przyjaciel prof. W. Makridina prosił o pomoc w zdobyciu dla siebie lekarstw nasercowych. Tu sprawa była prosta, gdyż chodziło o lekarstwa, których ja używałem, więc mogłem to załatwić z moją lekarką. Inna sprawa dotyczyła artysty malarza, który na wernisaż w Polsce przysłał swoje obrazy – były one prezentowane na wystawie i w katalogu, ale w dziwny sposób nie mogły wrócić do właściciela. Ułatwienie kontaktu z Ministerstwem Kultury rozwiązało i ten problem.

Najtrudniejszą sprawą z polecenia prof. W. Makridina była sprawa doc. J. Bieleckiego z Charkowa. Był to dość młody człowiek, który w ramach wymiany między uniwersytetami Poznańskim i Charkowskim przyjechał z grupą studentów do Polski. Miał on dodatkowo swoją prywatną sprawę i pragnął ją przy okazji pobytu w Polsce rozwiązać. Mianowicie chciał odnaleźć grób swojego ojca, który został ranny podczas forsowania Wisły na północ od Warszawy. Ojciec zmarł w szpitalu polowym i został pochowany gdzieś w okolicach Pułtusa. Docent J. Bielecki zostawił studentów w Poznaniu pod opieką drugiego kolegi, a sam przyjechał do Warszawy do ambasady radzieckiej z prośbą o pomoc w odszukaniu grobu. Ambasada bez żadnej motywacji odmówiła mu pomocy. Zdesperowany doc. J. Bielecki, chwytając się ostatniej deski ratunku, pomny na wypowiedź prof. W. Makridina, zatelefonował do mojej żony do Muzeum Ziemi i przedstawił swoją sprawę pytając, czy nie zechcielibyśmy mu pomóc. Żona od razu wyraziła chęć pomocy. Na początek uzgodniliśmy jedynie, że wróci do Poznania, a następnie przyjedzie do nas dzień przed swoim wyjazdem do Charkowa. Wtedy postaramy się pojechać w teren i odszukać razem z nim grób ojca. Poprosiliśmy o pomoc naszego przyjaciela Witka Smułka, który już wtedy miał własny samochód, co umożliwiło nam szybsze działanie i poszukiwanie w terenie.

Po przyjeździe J. Bieleckiego do Warszawy zabraliśmy go w teren. Udało się nam odnaleźć miejsce szpitala polowego, gdzie zmarł jego ojciec, oraz ustalić, że jest pochowany na cmentarzu wojсковym w Pułtusk. W Radzie Narodowej ustaliliśmy numer kwatery.

Na cmentarzu odszukaliśmy kwaterę, zapaliliśmy znicze oraz J. Bielecki pobrał garść ziemi z grobu ojca na pamiątkę dla matki. Wykonaliśmy kilka fotografii i szybko powróciliśmy do Warszawy, aby nasz gość mógł zdążyć na pociąg do Moskwy.

Po przybyciu na dworzec okazało się, że cała grupa już czeka, ale w pociągu dla nich nie było miejsc i będą musieli czekać aż do jutra wieczorem. Musieli tak przetrwać całe 24 godziny bez noclegu i jedzenia,



Cmentarz wojenny w Pułtusk w 1968 r. Kwatera z grobem ojca doc. J. Bieleckiego (stoją doc. J. Bielecki oraz mój syn Grzegorz)

gdyż nie mieli już żadnych pieniędzy. Zdecydowałem się na rozmowę telefoniczną z Rektorem UW i uzyskałem zgodę na zakwaterowanie całej grupy na jedną noc w Domu Akademickim przy ul. Żwirki i Wigury oraz na całodobowe wyżywienie. Dostałem też zgodę na wzięcie autokaru z bazy w celu przewiezienia ich do akademika oraz na cały następny dzień, aby pokazać im zabytki Warszawy.

Przez noc koleżanka Ewy, p. Maria Kleiberowa, fotograficzka, wywołała zrobione przez nas na cmentarzu zdjęcia i w momencie odjazdu wręczyliśmy je J. Bieleckiemu, który przyjął je z wielką wdzięcznością i wzruszeniem. Po pewnym czasie, poza podziękowaniami ze strony mamy J. Bieleckiego, otrzymaliśmy oficjalne podziękowanie z Komitetu Partyjnego w Charkowie oraz egzemplarz gazety charkowskiej, gdzie na specjalnej czerwonej wkładce zostało opisane powyższe wydarzenie.

Było potem jeszcze wielu gości z różnych stron świata i warto wspomnieć o jeszcze jednym z nich. Mianowicie mam tu na myśli dr. E. Owena z Muzeum Brytyjskiego. Dla niego był to pierwszy wyjazd do krajów leżących za „żelazną kurtyną”. Na podstawie informacji angielskich oraz Polski miał on bardzo zniekształcony. Według jego pojęcia był to kraj zupełnie dziki, gdzie po ulicach biegają bizona (chyba żubry). Zmienił trochę zdanie, gdy zobaczył miasto dość brudne i zatłoczone, ale europejskie, gdzie w hotelach są takie same jak na Zachodzie łazienki. Najbardziej ze wszystkich miast podobał mu się Kraków. Zainteresowały go nasze odkrywki geologiczne, gdyż takich w Anglii już nie ma, oraz nasza polska służba zdrowia. Podczas pobytu w kamieniołomie we wsi Iwanowice nasz gość dostał ataku kamicy nerkowej. Zasłabł tak bardzo, że o mało co nie spadł ze ściany w odkrywcę. Wystraszeni zawieźliśmy go do wiejskiego ośrodka zdrowia i tam w prymitywnych warunkach lekarz, jedynie na podstawie moich informacji, gdyż bezpośrednio nie mógł się z pacjentem porozumieć (bariera językowa), zaaplikował mu jakiś zastrzyk, po którym minął ból, a w nocy – już w hotelu krakowskim – delikwent „urodził kamień”, o czym, nie bacząc na godziny nocne, sam nas zawiadomił. Była to prawdę mówiąc trochę „końska kuracja”. Leczenie bardziej weterynaryjne (koń też nie mówi do lekarza), ale bardzo skuteczne. Dopiero wtedy nasz gość przyznał się, że w Anglii miał już przeprowadzone badania, wykonaną analizę tego kamienia i wyznaczony czas operacji. Był zaskoczony, że w Polsce wiejski lekarz bez żadnej operacji potrafił kamień usunąć. Stąd jego estyma dla polskiej służby zdrowia.

*

Było jeszcze wiele osób wizytujących nas tak służbowo, jak i prywatnie, takich jak na przykład Ula Asgard z Danii czy Olga Nekwasilowa z Pragi, a których to wizyty przerodziły się w przyjaźnie. Podobnie Tani Smirnowej z Moskiewskiego Uniwersytetu, która wielokrotnie przyjeżdżała do nas, do Warszawy, a my do niej, do Moskwy. Jest to chyba cecha wszystkich „brachiopodziarzy”, którzy na całym świecie traktują współbadaczy jak jedną wielką rodzinę. W Waszyngtonie wydawano specjalne lokalne pismo „Lampshell”, w którym podawano, co w danym roku opracował każdy znany w tej branży brachiopodziarz i jak przedstawiają się jego warunki życiowe (zmiana pracy, nazwiska, powiększenie rodziny). W tym kontekście do takich właśnie zaprzyjaźnionych rodzinnych sympozjów można zaliczyć spotkanie w Charkowie, gdzie, poza wygłaszaniem referatów, zbyt brataliśmy się z Gruzinami przy butelce wina, co nam *ex cathedra* wypomniął przewodniczący sympozjum, prof. W. Makridin.

*

Przez szereg lat, niezależnie od pracy naukowej, pracowałem społecznie. O działalności w spółdzielczości mieszkaniowej pisałem już uprzednio. Obok tego pełniłem funkcję sekretarza Polskiego Towarzystwa Geologicznego, Oddziału w Warszawie. Brałem udział w organizowaniu Zjazdów Naukowych PTG na Pomorzu, dwukrotnie w Zakopanem (Tatry i Podhale) oraz w Bełchatowie. W tym ostatnim przypadku dodatkowo jeszcze pełniłem funkcję redaktora przewodnika zjazdowego.

*

Drugim miejscem bardzo zaawansowanej pracy społecznej był Związek Nauczycielstwa Polskiego, gdzie przeszedłem wszystkie możliwe szczeble kariery związkowej, od zwykłego członka poprzez przedstawiciela do Rady Wydziału, sekretarza Oddziałowej Organizacji Związkowej na Wydziale, poprzez prace w Radzie Zakładowej Uniwersytetu Warszawskiego na stanowisku wiceprezesa, aż po członka Zarządu Głównego ZNP. W pracy na Wydziale, a później na uczelni, zajmowałem się sprawami bytowymi, głównie mieszkaniowymi. Byłem współinicjatorem (razem z Elżbietą Brzezińską, Danutą Małecką, Elżbietą Nogowiczową, Andrzejem Stelmachowskim i Tadeuszem Stankiewiczem) tworzenia własnych uniwersyteckich ośrodków wczasowych. Udało się stworzyć ośrodek kolonijny dla dzieci w Łukęcinie, dom wczasowy w Kirach i na

Szeligówce, domy wypoczynkowe w Białowieży i Sajzach. Ostatnie dwa wymienione zostały zamienione na stacje badawcze Uniwersytetu.

Niestety, nie udało się nam stworzyć ośrodka wypoczynkowego w Zakopanem, konferencyjno-sanatoryjnego w Szczawie (gdzie została już wykupiona ziemia i wykonano plany budowlane) i domu pracy twórczej w zabytkowym, co prawda bardzo zniszczonym przez PGR, dworku



Dworek w Błędownie. Widok z lat siedemdziesiątych od strony ogrodu

Walickich z początków XIX wieku, który został zaprojektowany przez znanego architekta Fryderyka Alberta Lessela w Błędownie.

I tego ostatniego obiektu jest mi najbardziej szkoda. W ramach prac społecznych pracownicy uczelni w dużej mierze odrestaurowali ogród. Niestety, nie udało się wykwaterować byłych pracowników PGR i uczelnia zrezygnowała z tego obiektu. Obecnie dworek ten już nie istnieje. Został całkowicie zniszczony i rozebrany.

Współorganizowałem także ogrody działkowe „Danusin” na Zaciszu w Warszawie oraz – wspólnie ze Spółdzielnią Mieszkaniową „Oświata” – mieszkania dla pracowników uczelni w kilku dzielnicach Warszawy, między innymi w osiedlach na Waszyngtona, Londyńskiej, Batorego, Radnej, Czerniakowskiej czy Bernardyńskiej.

*

Byłem współorganizatorem uniwersyteckiej wymiany wczasów pracowników – z pominięciem CRZZ i Ministerstwa – z uniwersytetami w Moskwie (Podmoskowie i wybrzeże Morza Czarnego Pitsunda na Kaukazie), Bratysławie (Harmonia), Pradze, Berlinie, Sofii, Warnie i Budapeszcie (Balaton i Las Bakoński). Jednocześnie w tych samych ramach organizowaliśmy indywidualne wyjazdy naukowe. Między innymi z takiego wyjazdu skorzystałem jadąc do Berlina. Pojechaliśmy we trójkę: Danka Małecka, Zosia Sztetyło i ja. Każdy miał swój własny plan pracy naukowej. Danka zapoznanie się z metodami stosowanymi w hydrogeologii na Uniwersytecie Humboldtów, Zosia z nowymi odkryciami archeologicznymi w Pergamon Muzeum i ja z badaniami nad współczesnymi brachiopodami w Muzeum Przyrodniczym. Takie były założenia, ale w praktyce udało mi się jedynie obejrzeć kolekcje współczesnych brachiopodów zebranych i opracowanych przez W. Helmkego w okresie międzywojennym, które nie uległy zniszczeniu. Resztę pobytu spędzaliśmy nie na badaniach, a jedynie na wspólnym zwiedzaniu Zakładu Hydrogeologii na uniwersytecie oraz Muzeum Przyrodniczego, w którym oglądaliśmy rekonstrukcje szkieletów dinozaurów i oryginał jurajskiego praptaka *Archeopterix*a. Oryginał, a nie kopię, gdyż tylko kopia jest wystawiona w Muzeum, oryginał zaś przechowywany jest na zapleczu w odpowiednio zabezpieczonej metalowej skrzyni, którą dla nas specjalnie otworzono. A był to pewien rytuał, gdyż skrzynia ta jest zamknięta na cztery kłódki, do których klucze mają różne osoby, tak że trzeba je zebrać razem, aby można ją było otworzyć. Dzięki Zosi podziwialiśmy całe Muzeum Narodowe ze słynnym ołtarzem z Pergamonu i Bramą Asyryjską wywiezionymi przez Niemców z Mezopotamii. Oglądaliśmy także, ale już w Muzeum Bodego, kopię głowy królowej Nefretete. Byliśmy także w oryginalnym i znanym Starym Teatrze Brechta – który obecnie już nie istnieje, gdyż został przebudowany i unowocześniony – na słynnym przedstawieniu „Opera za trzy grosze”. Ciekawostką dla nas z tamtych czasów był fakt, że mieszkaliśmy w hoteliku prowadzonym przez protestanckie zakonnice. Każdego dnia mieliśmy na nocnych stolikach wyłożone Biblie otwarte na stronie z Ewangelią na dany dzień. A rzecz się dzieła w Berlinie, w NRD – kraju bardziej komunistycznym niż sam Związek Radziecki.

*

Organizowaliśmy też wspólne międzynarodowe sympozja poświęcone współpracy związkowej. Na jednym z nich, w Moskwie, miałem nawet szokujący moskwiczom referat na temat prasy studenckiej. Były to czasy odwilży w Polsce i wychodziło kilka pism studenckich, między innymi „ITD” – tygodnik ilustrowany, który opisywał, czasami mocno krytycznie, prace różnych pracowników na uczelniach oraz – jako pierwszy w Polsce – na ostatniej stronie drukował akty kobiece. Kiedy dla ilustracji puściłem po sali kilka egzemplarzy „ITD”, zapanowała chwilo- wa konsternacja i udane oburzenie, a następnie wszystkie egzemplarze zaginęły. Proszono mnie o następne, ale już nie miałem, gdyż bałem się przewozić przez granicę większe ilości, bowiem „pornografia” w tym kra- ju była dużym przestępstwem.

*

Po stanie wojennym i mojej rezygnacji z przynależenia do jakich- kolwiek związków zawodowych zacząłem – z wyboru ministra Ochro- ny Środowiska Zasobów Naturalnych i Leśnictwa – pracować społecz- nie w Radzie Naukowej Tatrzańskiego Parku Narodowego. Tam razem z Dyrekcją TPN-u i Słowackiego Parku TANAP-u współorganizowałem sympozja poświęcone współpracy obu parków i wymianie myśli nauko- wej. Sympozjów takich było kilka; niektórych lokalizację pamiętam, np. w Polsce: Zakopane, Krościenko, Gdańsk, a na Słowacji: Poprad, Stara Leśna, Orawa. Za wieloletnią (ponad 30-letnią) pracę w Radzie Parku zostałem w 2015 roku uhonorowany tytułem „Dobroczyńcy Ta- trzańskiego Parku Narodowego”. Do tej pory pozostaję czwartą osobą w Polsce, której Kapituła przyznała taki tytuł.

*

W roku 2002 upłynęło 50 lat od momentu utworzenia Wydziału Geologii UW. Władze Wydziału Geologii wraz ze Stowarzyszeniem Absolwentów Wydziału Geologii zorganizowały uroczysty jubileusz, na który przybyło blisko 600 osób. Na tenże jubileusz zaproszono mię- dzy innymi żyjących jeszcze współorganizatorów, którzy tworzyli ten Wydział, a także pracowników naukowo-dydaktycznych pracujących od momentu jego powstania. W tym czasie było to jeszcze 11 osób: prof. dr hab. Ewa Stupnicka, mgr Irena Bobrowska, prof. dr hab. Kry- styna Balińska-Wuttke, prof. dr hab. W. Barczyk, prof. dr hab. Witold Cezariusz Kowalski, prof. dr hab. Tadeusz Macioszczyk, prof. dr hab.

Antoni Nowakowski, prof. dr hab. Stanisław Orłowski, prof. dr hab. Wiktold Pożaryski, prof. dr hab. Adam Urbanek, prof. dr hab. Zygmunt Wałęńczak. Po wielu przemówieniach powitalnych Rektor UW, prof. dr hab. Piotr Węgleński, odznaczył nas Medalem Pamiątkowym Uniwersytetu Warszawskiego.

*

Upłynęło kilka lat i w roku 2015 obecnie żyjących organizatorów Wydziału pozostało jeszcze troje profesorów: prof. dr hab. W. Barczyk, prof. dr hab. S. Orłowski i prof. dr hab. E. Stupnicka.



Ci, którzy 50 lat temu tworzyli Wydział Geologii UW (od prawej: prof. dr hab. Wiesław Barczyk, prof. dr hab. Zygmunt Wałęńczak, mgr Irena Bobrowska, prof. dr hab. E. Stupnicka, prof. dr hab. Władysław Pożaryski, prof. dr hab. Adam Urbanek, prof. dr hab. Antoni Nowakowski, prof. dr hab. Tadeusz Macioszczyk (fot. K. Kozłowski, 2002 r.)

Stanisław L. Bażański

Wydział Fizyki

Drugi dom na Hożej

ZOFIA BOGLEWSKA-HULANICKA: Panie Profesorze, jak to się stało, że mieszkając w Bydgoszczy wybrał Pan studia we Wrocławiu?

STANISŁAW L. BAŻAŃSKI: Mieszkalem z rodzicami w Bydgoszczy. Dużo czytałem. Jako mały chłopiec dostałem w szkole, jako wyróżnienie, książkę Arkadiusza Piekary pt. *Fizyka stwarza nową epokę*. Byłem nią zafascynowany. Przedtem sądziłem, że wybiorę matematykę jako przedmiot studiów, ale pod wpływem tej książki zafascynowałem się fizyką. Ukończyłem w Bydgoszczy dobre liceum. Nauczyciel fizyki był przyjacielem Arkadiusza Piekary, który z kolei był profesorem fizyki na Politechnice w Gdańsku. Zdecydowałem, że będę tam zdawać egzamin na Wydział Elektroniczny.

I jak poszedł Panu egzamin?

Zdałem go na piątki, ale nie zostałem przyjęty z braku miejsc. Upatruję to w fakcie, że w szkole odmówiłem zapisania się do ZMP, a byłem kilkakrotnie namawiany do tego przez kolegów, którzy twierdzili, że jak się nie zapiszę, to nie dostanę się na studia. Byłem wtedy bardzo zarozumiały i odpowiadałem, że „jak ja się nie dostanę, to nikt z was się nie dostanie”. Egzamin z marksizmu również zdałem na piątkę, ponieważ – wiedząc, że takowy mnie czeka – kupiłem sobie książkę Schaffa i prawie na pamięć się jej nauczyłem. Jak wróciłem do Bydgoszczy to moi nauczyciele nie chcieli wierzyć, że się nie dostałem na studia. Do Gdańska pojechał ze mną ojciec. Dostałem list polecający od profesora Piekary do profesora Wesołowskiego we Wrocławiu. Z Panem Wesołowskim, który był wtedy zastępcą profesora (było takie stanowisko), wybrałem się do

dziekana Marczewskiego. Kandydatów było mniej niż miejsc. Zostałem przyjęty i zacząłem studiować w tym mieście.

W tych latach we Wrocławiu Uniwersytet i Politechnika istniały razem jako jedna uczelnia. Był jeden Wydział Matematyczno-Fizyko-Chemiczny. Zapisalem się na matematykę i fizykę. Było nas około 20–25 osób. Byliśmy ze sobą zżyci pomimo tego, że niektórzy byli spóźnieni, bo przyszli „z lasu” – byli partyzantami w czasie wojny. Ciekawe wykłady i doświadczenia prowadził profesor Stanisław Loria, który przybył ze Lwowa. Na trzecim roku wykładana była fizyka teoretyczna. Asystentami Lorii byli absolwenci Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy jeszcze nie zdali egzaminów końcowych. Zdawałem wszystkie egzaminy obowiązujące matematyków i fizyków. Na trzecim roku fizykę wykładał profesor Roman Stanisław Ingarden. Wykładał nam fizykę teoretyczną. Na jednym z wykładów powiedział nam, studentom, że z Kanady do Polski przyjechał profesor Leopold Infeld i że ściągają młodych fizyków. Zorganizował konferencję w Zakopanem. Mówił o języku teorii względności i to mnie zaciękało. Zacząłem studiować fizykę teoretyczną według Ingardena. Języka rosyjskiego nie znałem, ale się go nauczyłem, gdyż większość dostępnych książek była napisana właśnie w tym języku.

Jak doszło do tego, że Pan Profesor przeniósł się do Warszawy?

Wtedy, w roku 1952, podobnie jak teraz studia były dwustopniowe. Zafascynowany badaniami Infelda postanowiłem na drugi stopień studiów przenieść się do Warszawy. Może w tym miejscu kilka słów o Leopoldzie Infeldzie. Otóż w 1948 roku przyjechał on na Kongres Intelktualistów do Wrocławia. Na Kongresie spotkał swojego przyjaciela z kawiarni krakowskich Józefa Cyrankiewicza, który powiedział mu, że zaprasza go do Polski, aby tu organizował fizykę polską. Profesor Leopold Infeld przyjechał do Polski w 1950 roku i objął Katedrę Fizyki Teoretycznej na Hożej. W tamtych czasach mówiło się o tym, że Cyrankiewicz, chcąc stworzyć fizykowi jak najlepsze warunki w Polsce, przydzielił mu eleganckie mieszkanie. Jednakże ten odmówił, ponieważ miało ono tylko jedną łazienkę. Wobec tego zostały połączone dwa mieszkania w jedno duże z dwiema łazienkami.

Panie Profesorze, powróćmy do Pana studiów na Uniwersytecie Warszawskim.

A więc na drugi stopień studiów przyjechałem na Uniwersytet Warszawski. Pozostawało akurat jedno miejsce a ja byłem jedynym kandydatem. Jeszcze kiedy byłem na pierwszym roku studiów we Wrocławiu, profesor Hugo Steinhaus powiedział nam, że pani Łucja Banach, którą on się opiekował we Wrocławiu, przekazała wszystkie honoraria Banacha za wydawane książki na stypendium dla najzdolniejszego studenta pierwszego roku – i ja dostałem tę nagrodę. Bardzo mi się ona przydała, gdyż rodzicom nie najlepiej się powodziło – było nas wtedy w domu czworo, pracował tylko ojciec a przecież musiałem się w Warszawie jakoś utrzymać. Zamieszkałem w akademiku na Grenadierów. Kiedy znalazłem się wśród kolegów ze studiów, zrozumiałem, że jednak nie jestem najlepszy, a właśnie takie miałem o sobie wcześniej wyobrażenie...

Czy Pan Profesor brał udział w słynnych Infeldiadach, które odbywały się w latach 1950–1954, a które to fundował profesor Infeld?

W pierwszej nie brałem udziału. Natomiast byłem w 1952 roku na Zjeździe Polskiego Towarzystwa Fizycznego w Poznaniu. Był to zjazd fizyków z całej Polski. Pojawił się na nim również profesor Stefan Pieńkowski. Już w czasie jazdy pociągiem do Poznania przyszedł do nas, studentów, do naszego przedziału, i powiedział: „Posuńcie się, zróbcie miejsce dla grubszego pana” – lubił na swój temat żartować i przyjemnie z nami rozmawiał. Znał wszystkich po imieniu. Mnie wypytywał o to, skąd jestem i sam fakt tego bardzo miło mnie do niego usposobił, gdyż dla mnie, do tej pory, była to postać z literatury. Profesor Pieńkowski był bodajże uczniem Marii Skłodowskiej-Curie. On zorganizował fizykę warszawską. Przyczynił się do wybudowania gmachu na Hożej. Był także dwukrotnie rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Niestety, to był jego ostatni rok życia. Umarł na białaczkę z powodu napromieniania.

Tak jak Maria Skłodowska-Curie...

Tak jak i wielu innych ludzi tej specjalności. Profesor Pieńkowski był bardzo szanowanym człowiekiem, przyjaznym studentom. W Warszawie na studium magisterskim było około dwudziestu studentów. Może wróć jeszcze do naszego wyjazdu na Zjazd Fizyków. Gdy przyjechaliśmy do Poznania, zainstalowano nas na uniwersytecie w wielkiej sali, która była opróżnioną pracownią fizyczną. Było tam okropnie zimno. Jednakże w pracowni znajdowały się kurki od gazu i tym gazem ogrzali-

śmy salę. Zrobiło się gorąco jak w piecu. Rano poszliśmy na konferencję, na której dano nam do przeprowadzenia różne doświadczenia. Okazało się, że na ten zjazd przyjechali także czołowi filozofowie polscy z panią Heleną Eilsztein i panem Stanisławem Krajewskim na czele. Potem oboje „nawrócili” się z filozofii marksistowskiej na współczesną. Ja zresztą także kilka artykułów popełniłem w czasopiśmie „Studia filozoficzne”. W każdym razie dlaczego przyjechali oni na konferencję fizyków? Bo zapewniono ich, że będzie na niej profesor Arkadiusz Piekara. A profesor Piekara cytował fizyków odwołujących się do Boga, mechanikę kwantową tłumaczył idealistycznie... Tymczasem ich zdaniem jedyną słuszną interpretacją była ta szkoły kopenhaskiej. Oni go bardzo skrytykowali. Był załamany. Wieczorem, leżąc w łózkach, dyskutowaliśmy o tym.

Wracając do początku mojego przyjazdu na studia do Warszawy – najpierw, jak już wspomniałem, mieszkalem w akademiku na Grenadierów w pokoju ośmioosobowym. Dojeżdżałem zatłoczonym tramwajem, przeważnie wisząc „na winogronach” i trzymając się jedną ręką. Tak się w Warszawie wtedy jeździło i nikt nie protestował. Stwierdziłem, że ponad połowa moich kolegów z fizyki są to studenci warszawscy. Wtedy też zorientowałem się, że oni znają fizykę lepiej ode mnie. Przedtem czułem się pewny siebie... To nie musi być regułą, bo wśród ślepców nawet jednooki jest królem. Czyli według starożytnej reguły: „wiem, że nic nie wiem”. Do tej pory uważam, że wszyscy fizycy powinni wyznawać tę zasadę. Przypuszczam, że nasze wszystkie modele i teorie za pięćset lat będą nieaktualne. Będą na nie patrzeć w taki sposób, w jaki my patrzymy na fizykę Arystotelesa na przykład.

A jak teraz to się zmienia w obliczu komputeryzacji, technik obliczeniowych?

Ja wierzę w fizykę pomiarów, w liczby, jakie otrzymamy z wykonania pomiarów. Ale nie wierzę w żadne modele. To są takie modele, jakie czynili poprzedni fizycy, którzy operowali takimi pojęciami jak flogiston czy ciepłik. Ciepłik jest dobry w kalorymetrii, ale nie w termodynamice. Wtedy te teorie wydawały się logiczne. Mimo tego należy uprawiać współczesną fizykę. Niektórzy fizycy mają marzenia o stworzeniu teorii wszystkiego. Uważam, że takiej teorii nigdy nie będzie, ale każdemu wolno uprawiać taką dziedzinę, której jest zwolennikiem. Tak jak Amerykanie w projekcie Manhattan – aby jak najszybciej zbudować bombę atomową dopuszczali wszystkie badania. Nawet Infeld brał udział w tym projekcie.

A Stanisław Ulam?

Ulam też. On był jednym z czołowych uczonych. Ludzie zajmujący się teorią anten odkryli promieniowanie tła, a więc echo wielkiego wybuchu na przykład. Z moich kolegów najzdolniejszy był Jerzy Sawicki, który już jako student zaczął publikować prace naukowe cytowane w zachodnich czasopismach.

Panie Profesorze, czy mógłby Pan opowiedzieć, jak układały się koleżeńskie stosunki? Czy byliście zżyci na roku?

Jeżeli chodzi o zżycie koleżeńskie, to było ono bardzo dobre. Spotykamy się do tej pory, chociaż powoli się wykruszamy. Może opowiem o budynku na ulicy Hożej. Otóż Infeld rozpoczął budowę skrzydła w gmachu fizyki. Poza Infeldem było jeszcze dwóch innych teoretyków: profesor Białobrzewski, który był znany z tego, że jeszcze przed brytyjskim astrofizykiem Arturem Eddingtonem podał teorię równowagi gwiazd. Bo jeżeli gwiazda promieniuje, to powinna zmieniać się w swoim kształcie, a tymczasem ona pozostaje niezmienna i powodem tego jest tak zwane ciśnienie promieniowania, które trzyma tę gwiazdę jako zwartą część materii. Eddington sformułował podobną teorię, ale Białobrzewski opublikował to po rosyjsku. Eddington zaś po angielsku i wiele lat potem. W każdym razie Eddington uznał pierwszeństwo Białobrzewskiego.

Drugim teoretykiem na Hożej był profesor Wojciech Rubinowicz. Był on jednym ze znaczących twórców mechaniki kwantowej. Słuchałem wykładów ich obu. W trakcie drugiego roku moich studiów w Warszawie Białobrzewski wykładał termodynamikę (mam ciekawe wspomnienia z egzaminu u niego).

Na pierwszym roku studiów bardzo odważnie zabierałem głos, ale potem stonowałem się i uznałem, że muszę wpierw daną rzecz przemyśleć, a dopiero potem mówić. Polubiłem wówczas wykład monograficzny (wtedy jeszcze) doktora Wojciecha Królikowskiego. Zrobił on doktorat jeszcze na kompletach. Zapytałem go, czy przyjąłby opiekę nad moim magisterium. Zgodził się i dał mi obszerną literaturę. Po niedługim jednak czasie powiedział mi o decyzji profesora Infelda, aby mojego magisterium nie prowadzić. Chodziłem zatem na seminarium Infelda, ale z tych wykładów niewiele rozumiałem. Uczęszczałem także na wykłady magistra (wtedy) Jerzego Plebańskiego, który prowadził wykłady metodą seminaryjną. Studenci byli podzieleni na różne specjalizacje, ale *de*

facto tych specjalizacji nie było. Był Włodzimierz Kołos, jeszcze wtedy magister. Obecnie na Ochocie znajduje się ulica jego imienia, bo okazał się światowej sławy chemikiem. Przygotowywał obliczenia potrzebne dla chemików metodami mechaniki kwantowej.

Panie Profesorze, przepraszam, że przerwę, ale ciekawi mnie, czy było tak, że temat pracy magisterskiej był proponowany przez profesora?

Tylko specjalność. Mechanika Newtona jest ciągle stosowana przez budowniczych mostów czy budowniczych lokomotyw i jest to teoria, która sprawdza się w stu procentach dla tego rodzaju urządzeń, natomiast jej uogólnienie jest szczególną teorią względności Einsteina. Ale nikt z tych inżynierów jej nie zna.

Czy pełnił Pan jakieś funkcje na Wydziale Fizyki?

Tak, przez parę lat byłem Kierownikiem Zakładu. Musieliśmy wyklądać wszystkie przedmioty. Ja wykładałem chyba całą fizykę klasyczną, kwantową też parę razy. Wykładałem także historię fizyki, również na kursach nauczycielskich, co było wliczane w *pensum*. Byłem kierownikiem Zakładu Fizyki Matematycznej po wyjeździe Plebańskiego. Zakład został utworzony w 1970 roku na życzenie Plebańskiego, który wrócił wtedy z Meksyku po dłuższym pobycie. W 1973 roku kierownikiem Zakładu został Bogdan Mielnik, zaś po jego wyjeździe zostałem z funkcją pełniącego obowiązki. I byłem nim do czasu, kiedy Zakład praktycznie się rozpadł.

Czy miał Pan jakieś zajęcia w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku?

Ja nie jeździłem do Białegostoku, natomiast miałem wykłady w Lublinie.

Czy kontynuowane są spotkania w stylu takim jak Infeldiady?

Kontynuowane są konwersatoria, niekoniecznie z fizyki, tylko z dziedzin interesujących fizyków, na przykład z biologii, z mikrobiologii.

Interdyscyplinarne?

Tak, te konwersatoria są interdyscyplinarne. Odbywają się zawsze w czwartki i w języku angielskim. Chciano Instytutowi Fizyki Teoretycznej nadać imię Infelda, ale nie zostało to zaakceptowane. Choć In-

feld nigdy członkiem partii nie był, ale był wszak prezesem Towarzystwa Obrony Pokoju.

Panie Profesorze, domyślam się, że Instytut Fizyki na Hożej był dla Pana drugim domem?

Tak, to był mój drugi dom. Bardzo lubiłem w nim przebywać.

Czego Pan Profesor życzyłby Uniwersytetowi na jego jubileusz?

Tego, aby brał przykład z Wydziału Fizyki.

Dziękuję za rozmowę.

Jan Błeszyński
Wydział Prawa i Administracji

Moje pięćdziesiąt parę lat na Uniwersytecie Warszawskim – uczelni o dwustuletniej tradycji

Dwieście lat historii naszego Uniwersytetu obejmuje okres niezwykle zróżnicowany i to pod wieloma względami. Bo najpierw okres Królestwa Polskiego powstałego po kongresie wiedeńskim, potem powstanie listopadowe, styczniowe, przekształcenie uczelni w bojkotowany przez polską młodzież carski uniwersytet, I wojna światowa, odrodzenie polskiej państwowości, zaś po dwudziestu latach niepodległości II wojna światowa. Po niej trudny i zróżnicowany okres powojennej historii działania Uniwersytetu w PRL, ze znaną sinusoidą uwarunkowań politycznych, w tym kolejno: okresu odbudowy Państwa, niestety o ograniczonej niezależności i politycznych represjach, szczególnie intensywnych w pierwszym dziesięcioleciu, wydarzenia 1956 roku, grudnia 1970, sierpnia 1980, stan wojenny, wolne wybory 1989 roku. No i ostatnie dwudziestopięciolecie toczące się w nowym systemie polityczno-gospodarczym, w którym już nie można nawarstwiających się trudności uzasadnić znany „Oni”. Jesteśmy bowiem sami, a jacy jesteśmy, wystarczy sięgnąć do prasy, radia, telewizji. Kultura języka jest tylko wtórnym przejawem brutalizacji i rozluźnienia obyczajów.

Moje związki z Uniwersytetem sięgają drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Jako student Wydziału Prawa pojawiłem się w murach naszej uczelni w roku 1957. Było to spotkanie z innym światem, w którym przedmiotem mojej fascynacji byli wykładowcy na Wydziale znamienici prawnicy tamtego czasu. W toku studiów okazało się, że fascynacja kadrami Wydziału Prawa nie była tylko przelotnym wrażeniem nowicjusza. Było to grono w równym stopniu wybitne, co wielobarwne. Każdy rok studiów miał swoje wielkości. Należy przypomnieć, że był to okres

szczególny, bezpośrednio następujący po wydarzeniach 1956 roku, tych w Polsce, jak i węgierskich, które głęboko przeżywaliśmy. Dziś okres ten nazywa się odwilżą. W rzeczywistości był krótkotrwałym powrotem do normalności i zachłyśnięciem się demokracją i wolnością słowa. Dla nas okres ten był tym bardziej wyrazisty, gdyż z domów wynieśliśmy świadomość koszmaru lat wojennych, a także czterdziestych i pięćdziesiątych. Każdy z moich rówieśników miał w świeżej pamięci okres politycznego terroru, wiedzę o Katyniu, opowieści rodaków wracających z radzieckich obozów pracy. Wiedza na ten temat była oczywiście środowiskowo bardzo zróżnicowana. Niezależnie jednak od tego, na ile decydowano się o tym mówić, na ile była to wiedza cząstkowa, to każdy przecież w swojej indywidualnej skali zetknął się z działaniem powojennego reżimu. Wielką rolę odgrywała tu literatura. Do dziś pamiętam *Poemat dla dorosłych* A. Ważyka, będący rozliczeniem z przeszłością, także przez tego autora z jego własną przeszłością.

Upływ czasu łagodzi obraz przeszłości. Pamiętam jednego z kolegów z ówczesnego pierwszego roku studiów. Był od nas kilka lat starszy. Różnica w wieku wynikała z tego, że kilka lat spędził w więzieniu, w następstwie przypisania mu udziału w związku przestępczym zmierzającym do „obalenia władzy”, zawiązanym przez uczniów szkoły średniej. Moi koledzy z późniejszych lat już raczej nie znali żargonowego określenia „szeptanka”, a mianowicie karanych wieloletnim więzieniem lub obozem pracy często bardzo drobnych wypowiedzi, traktowanych z całą bezwzględnością jako usiłowanie podważenia obowiązującego porządku politycznego. Dziś pojęcie wolność słowa jest czymś oczywistym. Dla nas miało ono istotnie różne znaczenie.

Nie miałem okazji słuchać wykładów w tzw. minionym okresie, tzn. w końcu lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych. Nie zetknąłem się już z działaniem na uczelni ZMP. Znam je z opowieści. W bezpośrednim działaniu znałem natomiast tę organizację ze szkoły. Kiedy rozpoczynałem studia, ta już nie istniała. Jej byli funkcjonariusze byli już, oczywiście jako partyjni działacze, wyrazicielami nowych prądów. Miejsce ZMP zajął ZMS, organizacja pozbawiona agresywności swojej poprzedniczki. Krąg jej członków był raczej ograniczony. Organizacją o dużym autorytecie był natomiast ZSP, organizacja samorządowa studentów.

Wstrząsem dla środowiska prawniczego było ujawnienie informacji o skali bezprawia. Były one zresztą bardzo ogólnikowe, choć każdy roz-

szyfrowywał je na swój użytek, w oparciu o własną i swego otoczenia wiedzę o funkcjonowaniu powojennego systemu. Dla środowisk prawniczych wstrząsem były skąpe i częściowe zresztą informacje o skali bezprawia w sferze organów wymiaru sprawiedliwości, w tym o działalności o cechach zbrodni sądowej. Szczególne znaczenie miała tu sprawa skazania na karę śmierci bohatera narodowego gen. Fieldorfa „Nila”. Ujawniona została szerzej znacznie później. Środowisko prawnicze dowiedziało się także o działaniu wydziałów specjalnych w sądach. Skala tego zjawiska nie jest dotychczas szerzej znana, a wiedza o nich była bardzo ograniczana. Wielką w tym zakresie rolę odgrywała wszechobecna cenzura. Wstrząsem były dzienniki K. Moczarskiego *Rozmowy z katem*. Początkowo cenzura zezwoliła na ich publikację w niszowym literackim miesięczniku „Odra”. Znamienne były tu dwie okoliczności: że bohater narodowy, funkcjonariusz AK-owskiego BIP-u, przez wiele lat więziony, skazany za wymyślone przestępstwa był umieszczony w celi śmierci razem z hitlerowskim katem powstania w warszawskim getcie. Pamiętniki te dopiero wiele lat później stały się szerzej dostępne w formie książkowej, a na scenie warszawskiego Teatru Powszechnego w formie wielkiego monologu ukazała się wstrząsająca inscenizacja tych zapisków wraz z tekstem wyroku rehabilitującego K. Moczarskiego.

Z sentymentem wspominam profesorów, których słuchałem jako student pierwszego roku i kolejno, lat następnych. Nie było wówczas obowiązku uczęszczania na wykłady. Frekwencja na nich była jednak duża, nawet – można powiedzieć – bardzo duża. Mimo braku obowiązku obecności, słuchaliśmy K. Koranyiego wykładającego powszechną historię państwa i prawa, wykładów J. Bardacha, okraszonych anegdotami znakomicie wpisującymi się w meritum wykładu, B. Leśnodorskiego dbającego szczególnie o piękno słowa, logiki prezentowanej przez Z. Ziembę, i dwóch jeszcze wykładowców, którzy mimo mało atrakcyjnej tematyki wykładów również potrafili przyciągnąć zainteresowanie słuchaczy. Myślę tu o S. Ehrlichu, wykładającym teorię państwa i prawa, a więc materię szczególnie bliską sferze polityki i ideologii. Do dziś wspominam ten wykład. Profesor, trzymając w ręku swój świeżo wydany, a napisany w innym „przed październikowym” świecie, podręcznik, rozprawiał się z jego treścią, wskazując fragmenty stanowiące ideologiczną naleciałość, bez której w czasie jego przygotowywania nie mógłby się zapewne ukazać, a jego autor nie miałby czego szukać na uniwersytecie początku lat pięćdziesiątych. To rozliczenie z przeszłością, determinacja we wskazy-

waniu, co autor chce odrzucić i jak zmienić lub uzupełnić, było aktem odwagi. Do dziś brzmi mi w uszach często powtarzany przezeń zwrot: „tego stanowiska nie mogę podtrzymać”. Krytykowanie samego siebie nie jest stereotypem. Łatwiej byłoby krytykować kogoś innego.

W trudnej sytuacji był również wykładowca ekonomii politycznej kapitalizmu J. Semkow. Jednak oczywisty talent dydaktyczny, dar jasnego i zwięzłego oraz wolnego od politycznych obciążeń formułowania myśli sprawiały, że jego wykład odwołujący się do dzieł K. Marksa był interesujący. Jego podstawową cechą był brak lukrowania i idealizowania rzeczywistości, podłanego sosem ideologicznego bełkotu. W sumie każdy z wymienionych uczonych stanowił w naszym odbiorze oczywistą osobowość różną od pozostałych, a przede wszystkim wyróżniającą się indywidualnym kolorytem wynikającym z zasobu i sposobu prezentowania myśli. Było to czymś istotnie różnym na tle powojennej mizerności i szarości. To, co było wspólne zajęciom z tamtych lat, to jasność wykładów, piękny język i oczywista kompetencja naszych mistrzów.

Kolejne lata akademickie biegły szybko, wiele czasu zajmowały nam wykłady i ćwiczenia, jednak mieliśmy wiele miejsca na tzw. życie towarzyskie. Wydział Prawa tamtych czasów był zbiorowiskiem zintegrowanym. Łącznie na roku było nas niewiele ponad dwieście osób, wszyscy się znali. Szczególnie grupy ćwiczeniowe pozostawały ze sobą w bliskich relacjach. Do dziś wspominam z tamtych czasów wielu uczestników swojej byłej grupy ćwiczeniowej, do której mnie przydzielono, a później proseminaryjnej i seminaryjnej. Byli nimi późniejsi małżonkowie E. i J. Łętowscy, J. Ciemniowski, M. Baluta, A. Gutkowska (obecnie Rychlińska), W. Kandefer, P. Asłanowicz, bracia Bareja, M. Gintowt-Dziewałtowska (obecnie Jankowicz), J. Okolski.

Przez pierwsze dwa lata moich studiów obowiązywał system zdawania egzaminów jednego dnia. Dla każdej grupy wyznaczano dzień, godzinę rozpoczęcia i salę, do której przychodzili kolejno poszczególni egzaminatorzy. Pierwszym egzaminatorem, który wkroczył na salę, był K. Koranyi, wspaniały uczony o wielce specyficznym poczuciu humoru, bohater niezliczonych studenckich anegdot. Bano się go, jednak jego poczucie humoru nie powodowało napięć, a sposób egzaminowania nie dyskredytował zdających. Było to szczególnie ważne wobec obszerności przedmiotu jego wykładu. Profesor Koranyi dysponował fenomenalną pamięcią, obejmującą nie tylko zdarzenia, ale i osoby. Pamiętam jego powiedzonka, np.: „Zaczynają mi się kłaniać. Zbliża się